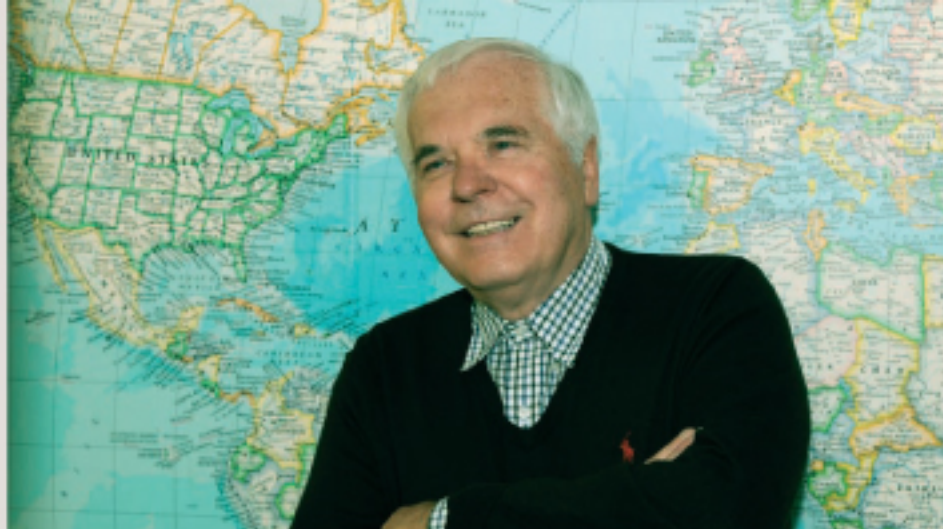


Jan Czekański

DO SUKCESU POD WIATR

Wspomnienia krnąbrnego emigranta





Jan Czekański urodził się w roku 1934 w Częstochowie. W latach 1952-1958 studiował na Politechnice Wrocławskiej na Wydziale Łączności (dzisiaj Wydział Elektroniki), równocześnie pracując jako asystent w Katedrze Urządzeń Radiofonicznych. W latach 60. ub. wieku pracuje — z przerwami — w Instytucie Fizyki oraz w Instytucie Farmakologii Uniwersytetu w Uppsali. Po pewnym czasie sytuacja zmusza go do desperackiego kroku: zakłada swą pierwszą firmę „Uppsala Instruments” 3.03.1968 roku emigruje na zaproszenie uniwersytetu na Alasce do Stanów Zjednoczonych, gdzie po wielu perypetiach, włączając w to bezrobocie, tworzy następną firmę, którą tym razem nazwał „Columbus Instruments”. Jan Czekański, pomimo swych siedemdziesięciu pięciu lat, wcale nie czuje się emerytem! Ciągłe zarządza swą firmą produkującą i eksportującą około siedemdziesięciu różnych przyrządów naukowych do ponad pięćdziesięciu krajów świata. Między innymi do Polski.

Dla tych, którzy chcą oderwać się od biedy i przeciętności, Janek Czekański ma następującą radę: „Nie dajcie się przekonać, że coś jest niemożliwe”, a na pytanie o element własnej osobowości, który najmocniej w nim tkwi, odpowiada: „Nie pamięć, nie dokładność, nie wytrwałość, ale wyobraźnia!”. Pisząc te wspomnienia, chciałem zobrazować przeciwności losu, z jakimi się zmagalem w trzech różnych krajach: Polsce, Szwecji i Stanach Zjednoczonych Ameryki.

wydawnictwo
e media

ISBN 978-83-89401-30-4



9788389401304 >

Słowo o autorze

W swych wspomnieniach Jan Czekajewski z humorem, czasami z ironią, ale i ze łąką w oku opisuje swoje przygody, najpierw w Polsce, będąc jeszcze dzieckiem, potem studentem, asystentem na Politechnice Wrocławskiej i na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, wreszcie początkującym biznesmenem w Polsce Ludowej. Następnie wspomina swą karierę naukową i wynalazczą w Szwecji i na koniec, sukces, który odniósł w Stanach Zjednoczonych. Dla Czytelnika ciekawym i pouczającym winno być to, że Janek Czekajewski osiągnął go nie mając żadnego kapitału i, jak to mówią Amerykanie, „podciągnął się na drabinie społecznej, posługując się sznurowadłem”. Między innymi ten właśnie fakt zaważył, że w roku 1989, w stanie Ohio, otrzymał wyróżnienie dla „Najlepszego Biznesmena Wysokiej Technologii”.

Książka ta, będąca swego rodzaju pamiętnikiem, jest zbiorem migawek z życia Janka. Część z nich była opublikowana uprzednio w prasie emigracyjnej. Autor podzielił utwór na trzy rozdziały: „Wspomnienia z Polski” (zawiera reminiscencje z okresu dzieciństwa w Częstochowie oraz studiów i pierwszej pracy we Wrocławiu), „Wspomnienia z Polski i Skandynawii” (dotyczy wspomnień z lat 1960-1966 kiedy to Jan na przemian mieszkał w Polsce, Finlandii i Szwecji), „Wspomnienia z Ameryki” (tu znajdują się informacje z okresu emigracji do Stanów Zjednoczonych i krótkiego pobytu w Kanadzie — od 1968 roku do czasów dzisiejszych, czyli roku 2010).

Jan Czekajewski urodził się w roku 1934 w Częstochowie, gdzie z pewnymi trudnościami (repetował klasę dziewiątą) skończył Gimnazjum im. Romualda Traugutta. W latach 1952-1958 studiował na Politechnice Wrocławskiej na Wydziale Łączności (dzisiaj Wydział Elektroniki), równocześnie pracując jako asystent w Katedrze Urządzeń Radiofonicznych kierowanej przez profesora Stefana Bincera. W roku 1960 Jan „przemysłnie” organizuje

dla siebie zaproszenie do Szwecji, gdzie pracuje — z przerwami — w Instytucie Fizyki oraz w Instytucie Farmakologii uniwersytetu w Uppsali. Po odmowie przedłużenia polskiego paszportu udzielonej przez polski konsulat Czekajewski prosi Szwecję o azyl. Kiedy obcięto fundusze dla uczelni w Uppsali, jako cudzoziemiec, traci pracę. Sytuacja zmusza go do desperackiego kroku: zakłada swą pierwszą firmę „Uppsala Instruments”. Trzeciego marca 1968 roku emigruje na zaproszenie uniwersytetu na Alasce do Stanów Zjednoczonych, gdzie po wielu perypetiach, włączając kolejne bezrobocie, tworzy następną firmę, którą tym razem nazwał „Columbus Instruments”. Droga do amerykańskiego sukcesu nie była bynajmniej łatwa i jego adoptowana ojczyzna, Stany Zjednoczone Ameryki, traktowała go na przemian, to jako sowieckiego szpiega, to zaszczycała laurkami za zasługi w budowie amerykańskiego przemysłu, w dziedzinie tak zwanej wysokiej technologii.

Kompletując wspomnienia, Jan Czekajewski, pomimo swych siedemdziesięciu pięciu lat, wcale nie czuje się emerytem! Ciągłe zarządza swą firmą produkującą i eksportującą około siedemdziesięciu różnych przyrządów naukowych do ponad pięćdziesięciu krajów świata. Między innymi do Polski*.

* Więcej na temat produktów firmy „Columbus Instruments” można znaleźć pod adresem: *www.colinst.com*.

Dlaczego napisałem tę książkę

Jednym moje nieuczesane wspomnienia mogą wydawać się obraźliwe, innym komiczne, a być może dla Czytelników starszej generacji, wzrastającej jeszcze w PRL-u, sentymentalne.

Niezależnie jednak od tego mam nadzieję, że pozwolą one ambitnym, młodym ludziom zastanowić się nad wyborem własnej przyszłości. Czasy, w jakich żyją i problemy, z jakimi się borykają, są dzisiaj na pewno inne, ale metody wyboru drogi życiowej i kariery zawodowej są dla nas wszystkich wspólne. Dla tych, którzy chcą oderwać się od biedy i przeciętności, Janek Czekański ma następującą radę: „Nie dajcie się przekonać, że coś jest niemożliwe”, a na pytanie o element własnej osobowości, który najmocniej w nim tkwi, odpowiada: „Nie pamięć, nie dokładność, nie wytrwałość, ale w y o b r a ż n i a!”.

W początkowym okresie mego życia zawodowego, zarówno w Polsce, jak i w Szwecji, moją ambicją było pracować naukowo na uniwersytecie. Jeszcze będąc zatrudnionym na Politechnice Wrocławskiej zauważyłem, że inni pracownicy naukowci traktują mnie jak „wesołka”, który nie licuje swym zachowaniem z postawą naukowca. W Szwecji było już nieco inaczej, brano mnie tam bardziej na serio. Jednak poważne posady akademickie były zarezerwowane tylko dla Szwedów. Zablockowanie kariery akademickiej zmusiło mnie do połączenia kwalifikacji naukowych z biznesowymi, ale już we własnym przedsiębiorstwie. Kiedy po latach na uniwersytecie w Uppsali odwiedzałem moich kolegów, Szwedów, będących już w stopniu profesorów, byłem losowi wdzięczny za niedopuszczenie mnie do laurów akademickich. Gdyby wtedy, w latach sześćdziesiątych, zaoferowano mi etat profesora albo nawet docenta, ugrzązłbym tam, w szwedzkiej przeciętności, na zawsze.

Pisząc te wspomnienia, chciałem zobrazować przeciwności losu, z jakimi się zmagalem w trzech różnych krajach: Polsce, Szwecji i Stanach Zjednoczonych Ameryki. Z uwagi na upływający

czas i zwodniczą pamięć moich opowiadań nie należy traktować jako dokument historyczny. W niektórych wypadkach, dotyczących szczególnie osób żyjących, zmieniłem ich nazwiska, gdyż intencją moją jest ilustracja klimatu politycznego i społecznego, a także egzystencjalnego tamtych czasów, a nie wendeta na byłych przeciwnikach czy konkurentach.

Janek sięga po pióro

Minęło czterdzieści pięć lat mego emigracyjnego życia. Nazbierało się masę wspomnień, ale tylko niektóre utrwaliły się w mej pamięci, czy to z powodu intensywności doświadczeń, czy też przez kaprys losu, który w naszym umyśle jedne wrażenia uwypukla, a inne pomija. Moje życie osobiste przeplatało się z zawodowym — co nie jest niczym oryginalnym na tym świecie — ale w niniejszych wspomnieniach poświęcę więcej miejsca temu ostatniemu, jako że moje zawodowe doświadczenia mogą być bardziej interesujące dla Czytelnika niż me erotyczne porażki lub doraźne sukcesy.

Tak się złożyło, że profesor Jerzy Krzyżanowski, syn słynnego historyka literatury polskiej, Juliana Krzyżanowskiego, sam znany literat i polonista z Ohio State University w Columbus, z którym zwykle w niedziele przy butelce wina Chardonnay Courtier dyskutujemy o przedwojennej i powojennej Polsce, zagadnął mnie kiedyś o przyczyny i dzieje mej własnej emigracji. Na ile czas i miejsce pozwoliły, streściłem mu wtedy moich pięćdziesiąt pięć lat zawodowych zmagania, w tym także życie w Columbus w Ohio. Profesor Krzyżanowski był pierwszym Polakiem, jakiego spotkałem po przybyciu do Columbus, szukając w tym mieście na uniwersytecie tłumacza dyplomu lekarskiego mej ówczesnej żony, Zofii Królikowskiej. Na marginesie muszę dodać, że profesor sam przeżył wiele w swym życiu i ma dużo ciekawych wspomnień, na przykład z czasów partyzantkiej działalności w lubelskiej Armii Krajowej. Swoje wspomnie-

nia z pobytu w sowieckim obozie w pobliżu Moskwy, gdzie go więziono razem z innymi AK-owcami już po „wyzwoleniu” Polski przez Armię Czerwoną, opisał w książce zatytułowanej „Widziane z Ameryki” (Wydawnictwo „Norbertinum”, rok 2009).



Profesor Jerzy Krzyżanowski w Columbus (Ohio)

Gawędy z profesorem Krzyżanowskim nasunęły mi pomysł przelania na papier własnych wspomnień. Skoncentruję się w nich na przypomnieniu kłopotów i sukcesów związanych z moim zawodem i zamiłowaniem do budowy elektronicznych przyrządów, mających zastosowanie w naukach medycznych i biologicznych. Ówczesny, skostniały system PRL-u lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych uniemożliwiał realizację moich ambitnych pomysłów w Polsce. Niemniej, zaraz po studiach, miałem szczęście pracować w biednie wyposażonym Zakładzie Produkcji Eksperymentalnej, tak zwanym „zakładzie pomocniczym” przy

Katedrze Urządzeń Radiofonicznych Politechniki Wrocławskiej, prowadzonym przez profesora Stefana Bincera.

Z mej pierwszej pracy wyniosłem następującą obserwację: największym kapitałem przy zakładaniu przedsiębiorstwa jest własny pomysł i stan umysłu, przy czym do jednostkowej produkcji przyrządów naukowych nie potrzeba wielkiego kapitału. Dodatkowo zauważyłem, że można budować elektroniczne przyrządy pomiarowe w niezwykle skromnych warunkach. Tam właśnie, na Politechnice Wrocławskiej przy ulicy Bolesława Prusa 53, powstały me pierwsze konstrukcje, wilgociomierz do zboża i miernik hałasu.

Na marginesie mej pracy na politechnice prowadziłem przez jakiś czas „tajną”, chałupniczą produkcję szlifierek dentystycznych. Był to niezwykle dochodowy interes, jako że technicy dentystyczni byli przedstawicielami jednego z niewielu zawodów, który w PRL-u działał całkiem prywatnie. Choć dysponowali większą gotówką, to jednak brakowało im podstawowych przyrządów do wykonywania protez dentystycznych. Ja właśnie tę lukę wypełniłem, modyfikując motorki elektryczne, w które wyposażone były maszyny do szycia Singera, i zamieniając je w szlifiarki dentystyczne. Zapotrzebowanie na taki produkt podsunęła mi moja ówczesna dziewczyna, technik dentystyczny, Elżbieta Pieńkowska. Tamta działalność wynalazczo-handlowa prowadzona w latach 1956-60 stanowiła zarzewie kolejnych przedsięwzięć, których ukoronowaniem jest moja obecna firma „Columbus Instruments International Corporation”, którą stworzyłem w Columbus w Ohio. Dzisiaj, w latach 2008-2009, kiedy wielki przemysł światowy i banki walą się w gruzy na skutek kryzysu światowego, moja firma oparta na zdrowych, „chłopskich” zasadach wyniesionych z Wrocławia, a później potwierdzonych w Uppsali w Szwecji, funkcjonuje bez kredytów od początku jej założenia (sic!), ma się bardzo dobrze i jej roczne obroty przekroczyły już dziesięć milionów dolarów.

Skąd ten szmal

Poprawnie postawione pytanie winno brzmieć: „Jak się wzbogaciłem?”. By nie popaść w fałszywą skromność, nie mogę ominąć tego tematu. Tak, rzeczywiście, jestem — nawet jak na stosunki amerykańskie — człowiekiem bogatym. Dojście do majątku zajęło mi wiele czasu. Około czterdziestu lat. Nie stało się to szybko, gdyż bogactwo nigdy samo w sobie nie było celem mego działania. Będąc rzucony na łaskę i niełaskę losu w obcych krajach, oszczędności zbyt często stanowiły, jak dla wielu i innych emigrantów też, jedyne zabezpieczenie mojej egzystencji.

Co więc było motorem mego działania przed i po moim wyjeździe z Polski? Był nim wrodzony pęd do ciągłego potwierdzania mych możliwości jako wynalazcy i konstruktora. Kiedy stwierdziłem, że sytuacje, w jakich się znajdowałem, nie stwarzały warunków do rozwinięcia mych talentów, sam prowokowałem takie okoliczności, by móc założyć własne firmy. Niestety, prowadzenie własnego biznesu nie sprowadza się jedynie do wynajdywania i konstruowania. Wręcz przeciwnie. Właściciel musi się wykazać zdolnościami i wiedzą wynikającą z wielu innych dziedzin życia. Biznesmen musi znać zasady sprzedaży, zakupów, rachunkowości i podatków, a także wiedzieć, jak kierować ludźmi. To wszystko zabiera ogrom czasu! Jak więc ambitny przedsiębiorca ma go mieć na badania naukowe i inżynierskie? Czas ten bardzo się zawęża, ale ponieważ jakoś trzeba te wszystkie czynności pogodzić, stąd też decyzja o wyborze bądź pracy najemnej, bądź własnego biznesu jest niezwykle trudna i zależy od wielu czynników. Między innymi emocjonalnych. Własny biznes daje swobodę w działaniu, ale narzuca stres spowodowany obawą o dzień następny. Mój przypadek pod tym względem wcale nie był inny, ale ja wiedziałem, że własna firma to dla mnie najbardziej optymalne rozwiązanie. Nie pomyliłem się co do tej decyzji i nigdy jej nie żałowałem.

Szkoła i Janka marne w niej wyniki

Z końcem wojny rodzice wysłali mnie do prywatnej szkoły Braci Szkolnych (Częstochowa, ulica Pułaskiego), do której zraziłem się z miejsca, kiedy brat przełożony, ojciec Bonawentura walnął mnie w głębę na reprezentacyjnych, pokrytych dywanem schodach pałacyku, w którym mieściła się szkoła. My, uczniowie, mieliśmy obowiązek wchodzić do szkoły tylko schodami kuchennymi! A ja wtedy, jako nowy uczeń, o tym nie wiedziałem i dopuściłem się takiego faux pas!

Zapewne nie z powodu tego incydentu, ale rodzice przenieśli mnie niedługo potem do innej prywatnej szkoły „Nauka i Praca”,



Pałacyk, w którym mieściła się szkoła Braci Szkolnych

skąd mnie wyrzucono z powodu złych wyników w nauce, a także krnąbrnego zachowania. W końcu, za protekcją koleżanki mej matki, która była sekretarką w Gimnazjum im. Romualda Traugutta, dostałem się tam do klasy drugiej, którą przemianowano później na klasę dziewiątą. Niestety, tamtejszy poziom nauczania był za wysoki na moją skromną, wojenną edukację i klasę dziewiątą musiałem repetować. Z dumą zachowałem jedno ze świadectw szkolnych z tego okresu, na którym na siedem przedmiotów nauczania miałem pięć dwój (oceny niedostateczne). W owym czasie dwie noty niedostateczne kwalifikowały ucznia do repetowania klasy, ale moi nauczyciele, chcąc być pewni, że nie przejdę do następnej klasy, wlepili mi ich chyba cztery czy pięć. Oceny dostateczne miałem ze sprawowania i rysunków, aczkolwiek właśnie z tych dwóch przedmiotów zasługiwałem — według mnie — na dwóje.

Niezależnie od mizernych wyników gimnazjalnych przeczytałem w tym okresie ogromną ilość książek i nabrałem wiedzy ogólnej bez porównania większej niż moi koledzy, przymusi. W następnym roku postanowiłem się podciągnąć, będąc świadomym, że takich, co to mają złe stopnie na maturze, nie przyjmowano na studia, natomiast wysyłano do ludowego wojska. Myśl o nim wywoływała u mnie alergię. I rzeczywiście, ze strachu czy wysiłku, nagle moje oceny poprawiły się i skończyłem gimnazjum — w roku 1952 — z wynikami wystarczająco dobrymi, aby zostać przyjęty na studia.

W klasie dziewiątej odkryłem, że mam zdolność do gawędzenia, będącą chyba wynikiem czytania olbrzymiej ilości książek, które, poza programem szkolnym, wręcz pochłaniałem. Odkrycia tego dokonałem pewnego razu na letnim obozie, gdy ze zdziwieniem zauważyłem, że w namiocie, przed snem, rozbrykani koledzy cichną, kiedy zaczynam im opowiadać jakąś historię.



ŚWIADECTWO
GIMNAZJUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO

Uchajewski Jan

(nazwisko i imię)

urodzony dnia *16 grudnia* 19 *34* r. w *Łętotachowie*
powiatu *węztołowski*, województwa *kieleckiego*
uczęszczał do klasy *drugiej a* i otrzymał za pierwsze półrocze
roku szkolnego 19 *47/48*

oceny następujące:

sprawowanie	<i>bardzo dobry</i>
religia	<i>dobry</i>
język polski	<i>dostateczny</i>
język łaciński	<i>niedostateczny</i>
język <i>francuski</i>	<i>dostateczny</i>
historia	<i>dostateczny</i>
geografia	<i>dostateczny</i>
historia <i>chemia</i>	<i>niedostateczny</i>
fizyka chemia	<i>dostateczny</i>
matematyka	<i>niedostateczny</i>
przysposobienie wojskowe	<i>—</i>
zajęcia praktyczne	<i>dostateczny</i>
ćwiczenia cieleśne	<i>dostateczny</i>
<i>rysunek</i>	<i>dostateczny</i>

Moje świadectwo z Gimnazjum im. Romualda Traugutta

Janek jako pornograficzny zboczeniec

Cudem jednak stał się fakt, że nie zostałem wydalony z Gimnazjum im. Romualda Traugutta przedwcześnie. Za co? Za naganne sprawowanie, a raczej za rozprowadzanie pornografii. Miałem wtedy chyba lat piętnaście i byłem lichego wzrostu. Moi koledzy z klasy opowiadali już o sukcesach erotycznych, jakie odnosili. Ja natomiast nie miałem się czym wykazać. Aby zaimponować kolegom, wyjąłem z albumu rodzinnego zdjęcia mych ciotek i mojej mamy z lat przedwojennych, głównie w kostiumach kąpielowych, i przyniosłem do klasy, aby zaprezentować me „zdobycze erotyczne”. Muszę nadmienić, że w tym czasie gimnazjum, do którego chodziłem, było szkołą wyłącznie męską. Ciekawi koledzy zgromadzili się wokół mej ławki, oglądając z zachwytem moją „erotyczną dokumentację”. W pewnym momencie, z nienacka, zaskoczył nas profesor fizyki, Bernatek. Ze złością złapał zdjęcia i wykrzyczał, że postara się, aby moja noga więcej nie stanęła w tej szkole. Przerażony, udałem się do domu i powiedziałem ojcu, że wyrzucono mnie za szkoły i profesor Bernatek chce się z nim widzieć. Ojciec, zawsze pełen szacunku dla władzy, poszedł do szkoły interweniować w mej sprawie. Przy spotkaniu z nim profesor Bernatek zawyrokował:

— Pański syn nie umrze naturalną śmiercią! On będzie powieszony!

Po czym pokazał ojcu zdjęcia mej matki, Honoraty Czekajewskiej, Luni Biwan, Anny Czekajewskiej (później Jędrusik) i innych żeńskich, a przez to atrakcyjnych, członków mej rodziny. Mimo wszystko zostawiono mnie jednak w szkole, a nieco później dowiedziałem się, że profesor Bernatek zdradzał skłonności erotyczne w stosunku do mych kolegów i często ich zapraszał do swego laboratorium fotograficznego, gdzie w ciemni fotograficznej rozpinał im rozporki. Przypuszczam, iż reakcja profesora była maskowaniem własnych ułomności charakteru, a moje zainteresowanie kobietami wykorzystał do pokazania, jak go takie postawy bulwersują.

Z profesorem Bernatkiem miałem także na pieńku z powodów naukowych. Z perspektywy czasu widzę, że człowiek ten był ignorantem i swe kwalifikacje nauczyciela fizyki prawdopodobnie sfalszował. Pewnego dnia, w czasie wykładu o załamaniu się światła i zasadach fotografii, profesor powiedział, że pierwszy prymitywny aparat fotograficzny wymyślił mnich o nazwisku Obscur. Dlatego też, wedle profesora, to urządzenie nazywamy „camera obscura”. Pomimo faktu, że z łaciny miałem dwóję, to jednak wiedziałem, że „camera obscura” tłumaczy się na język polski jako „ciemna skrzynka”, na co profesorowi publicznie zwróciłem uwagę. Oczywiście, sympatii mi to z jego strony nie zaskarbiło.

W klasie dziewiątej zapisałem się na darmowy, dziewięciomiesięczny kurs radiotelegrafistów, prowadzony przez organizację



Ja jako radiotelegrafista

paramilitarną „Służba Polsce”. Był to okres wojny w Korei i Polska będąc sojusznikiem sowieckim, szykowała się do wojny światowej z Ameryką. Gdyby wojna wybuchła, byłbym jednym z pierwszych na froncie, ale wtedy o tym nie myślałem. Na kursie zajęcia z nadawania i odbierania sygnałów Morse’a prowadził „przedwojenny” operator wojskowej stacji radiowej. Był pełen entuzjazmu dla swego zawodu. Pewnego dnia jednak zniknął. Powiedziano nam, że jest chory... psychicznie, i że zabrano go do szpitala w Lublińcu. Nie byłem pewny, czy nie był to z jego strony unik przed Urzędem Bezpieczeństwa, który deptał mu po piętach. Kurs, jako najmłodszy kursant — miałem bowiem wtedy lat zaledwie piętnaście — skończyłem z wynikiem celującym. Lokalny dziennik „Życie Częstochowy” zamieścił wzmiankę o mnie jako o prymusie w dziedzinie radiotelegrafii. No, wreszcie mój ojciec mógł być ze mnie dumny!

Świadectwo ukończenia kursu radiotelegrafistów pomogło mi później w dostaniu się na studia na Wydział Łączności na Politechnice Wrocławskiej. Dzisiaj, będąc szefem przedsiębiorstwa i przyjmując do pracy młodych inżynierów, staram się wybierać takich, którzy elektronikę traktują jako życiowe hobby i majsterkują wieczorami w garażach czy piwnicach.

Politechnika Wroclawska przedszkolem biznesu

W roku 1952 dostałem się na Politechnikę Wrocławską, którą skończyłem w roku 1958. Od trzeciego roku studiów pracowałem równocześnie jako asystent techniczny w Katedrze Urządzeń Radiofonicznych prowadzonej przez profesora Stefana Bincera. To właśnie tam, w bardzo prymitywnym laboratorium, powstały moje pierwsze konstrukcje, wilgociomierz do zboża i tranzystorowy miernik hałasu.

Profesor Bincer był pochodzenia żydowskiego, rodem ze Lwowa. W tamtym czasie był już poważnie chory na serce. Nie mając własnych dzieci, a chcąc swą wiedzę komuś przekazać,

wybrał sobie mnie, abym uczestniczył w długich rozmowach, podczas których rozprawiał o zasadach prowadzenia prywatnego interesu, jako że we Lwowie, przed wojną, miał małą fabryczkę odbiorników radiowych.



Marzę o własnym biznesie. Wrocław, rok 1956

Profesor na Politechnice Wrocławskiej prowadził przy Katedrze Urządzeń Radiofonicznych, tak zwany zakład pomocniczy (konsultacyjny) dla przemysłu. Zakład ten miał wiele cech firmy prywatnej. Poza wilgociomierzami do zboża budowaliśmy tam nadajniki przekaźnikowe dla początkującej polskiej telewizji. Głównym konstruktorem był mój starszy kolega, Andrzej Drozd. Natomiast ja jeździłem po Polsce jako akwizytor z zamówieniami. Zjawiałem się w miastach i miasteczkach, w których nie było dobrego odbioru sygnału telewizyjnego. Do moich sukcesów akwizycyjno-konstrukcyjnych w tamtym okresie zaliczyć mogę powstanie przekaźnika telewizyjnego w Radomiu, przekaźnika, który służył mieszkańcom przez chyba ćwierć wieku, pozwalając im oglądać na żywo program telewizji warszawskiej.

W roku 1960, na zasadzie wymiany ze studentem matematyki z uniwersytetu w Uppsali, wyjechałem do Szwecji. Profesor Bincer wkrótce po moim wyjeździe zmarł. Obaj uniknęliśmy „karzącej ręki sprawiedliwości ludowej” — ja poprzez wyjechanie z kraju, mój mentor poprzez swą śmierć — bo podobno urząd finansowy bardzo się interesował metodami operacyjnymi Katedry Urządzeń Radiofonicznych, które bardziej przypominały te z gospodarki kapitalistycznej niż instytucję socjalistyczną, jaką była politechnika.

Przez jakiś czas poza pracą na uczelni prowadziłem także zupełnie prywatny interes, przerabiając motorki elektryczne normalnie służące maszynom do szycia „Singer” na szlifierki dentystyczne. Był to interes bardzo dochodowy, pozwalający mi żyć na „wykwintnym” jak na studenckie warunki poziomie. Do dystrybucji szlifierek zatrudniłem, na prowizji, kilku kolegów akwizytorów, którzy jeździli nocnymi pociągami do odległych powiatowych protezowni dentystycznych, reklamując i sprzedając moje szlifierki.

Och, życie moje było wtedy bardzo ciekawe! Zresztą jest i nadal. Czasami, owszem, balansowałem na krawędzi tragedii, ale nawet negatywne wydarzenia udawało mi się „obrócić” tak, by przyczyniły się w konsekwencji do poprawy mojego losu. Jak kot zawsze spadałem na cztery łapy. W sumie nie mogłem i nie mogę nadal narzekać. Życie potraktowało mnie chyba ulgowo, a nawet dość przyjaźnie, gdyż ostatecznie nie zawisnąłem na stryczku, jak prorokował mi to w częstochowskim Gimnazjum im. Romualda Traugutta profesor Bernatek. A nawet spełniły się moje młodzieńcze marzenia poprzez wybudowanie własnej, dobrze prosperującej firmy produkującej elektroniczną aparaturę naukową.

Rok 1953 — Janek doświadcza objawienia na ulicy Świdnickiej

Historia dokumentuje różne objawienia. Jedno z bardziej znanych zdarzyło się Mojżeszowi na Górze Synaj, drugie memu imiennikowi, Janowi Ewangelście, i dotyczyło Apokalipsy, jeszcze inne Archimedesowi z Syrakuz i miało miejsce podczas kąpieli w wannie, a nawiązywało do zasad hydrostatyki. Moje objawienie miało miejsce we Wrocławiu i dotyczyło finansów.

Była zima, przełom lat 1952-53. Gazety rozpisywały się szeroko o zamachu moskiewskich lekarzy na życie Wodza Narodów — Stalina oraz o jego genialnym dialogu z niejakim Mikołajem Marrem. Rozmowa traktowała o początkach ludzkiego języka. Mikołaj Marr miał szczęście umrzeć przed trzynastu laty, więc jego lingwistyczne różnice ze Stalinem nie mogły mu już więcej szkodzić. Mnie jednak absorbowowała myśl, czy będzie mnie stać na tak zwane drugie danie w stołówce studenckiej, prowadzonej przy ulicy Szewskiej przez stowarzyszenie „Caritas”. Jak wiadomo ówczesnym bywalcom tej stołówki pierwsze danie, czyli zupa i chleb były darmowe i nie wymagały kuponów. Kupony były natomiast potrzebne do drugiego dania, zwykle zawierającego trochę mięsa, tak zwaną „wkładkę”. Za kupony trzeba było płacić.

Byłem już studentem pierwszego roku Politechniki Wrocławskiej, gdzie dostałem się z pomocą mej ciotki, Otylii Woyczyńskiej, która zauważyła u mnie przebłysk, a może nawet płomyk zdolności intelektualnych, zbagatelizowanych przez mych częstochowskich nauczycieli. Ciotka Otylia w czasie uprzednich wakacji podciągnęła mnie na tyle w mej wiedzy matematycznej, że zdałem egzamin wstępny bez protekcji. Prawdę mówiąc, ciotka moja nie ufała ruletce egzaminu wstępnego na Wydział Łączności, gdzie na jedno miejsce kandydowało czterech chętnych i obstawiła wszystkie możliwe szanse, zarówno czerwone, jak i czarne. Było to możliwe, ponieważ egzaminatorami byli

jej uczniowie, których „obowiązkiem było spieszenie mi z pomocą” na wypadek, gdybym egzamin spartolił. Na szczęście zapobiegliwość ciotki nie była potrzebna, bo egzamin zdałem bez uciekania się do „kumoterskich” koligacji. Ale do rzeczy.

Idę więc sobie zimą ową wspomnianą ulicą Świdnicką, a w moich butach o dziurawej podeszwie chlupie woda. Godzina dnia jest mi nieznana, gdyż posiadanie zegarka było wtedy dla mnie luksusem. A luksus miał dopiero nadejść, po moim finansowym objawieniu. Ząb mnie boli, ale do dentysty nie pójdę, gdyż jestem przekonany, że niedługo umrę, gdyż coś mnie boli w prawym płucu, gdzie na „rentgenie” widać zwapnioną plamę. To pamiątka po głodnym dzieciństwie i zarażeniu się gruźlicą od naszej służącej, repatriantki ze Wschodu, która umarła w czasie wojny na galopujące suchoty. Będąc przekonany o niedalekiej śmierci jeszcze w „kwiecie wieku”, nie zamierzałem tracić pozostałego mi czasu na wizyty u dentysty. Wiem, że śmierć jednym machnięciem kosi uśmierzy me wszystkie bóle, choć może próchnicy nie wyleczy. Jak powszechnie wiadomo w trumnie uzębienie, nawet zdrowe, jest mało przydatne. Z trumny nie sposób się i tak wygrzyźć.

Po wdepnięciu do Delikatesów mieszczących się na parterze Państwowego Domu Towarowego (PDT), i zaciągnięciu się wonią kabanosów, o których nabyciu mogłem jedynie marzyć, zmierzam leniwym krokiem w kierunku ulicy Świerczewskiego (dzisiaj Marszałka Piłsudskiego). Po dotarciu na róg placu Kościuszki bezwiednie skręcam na prawo i przez wielkie okno mieszczącej się tam kawiarni „Stylowa”, zauważam, prawie pod moim nosem, wytworne — jak mi się wydawało — towarzystwo mieszające srebrnymi (tak na oko) łyżeczkami parzoną „po turecku” czarną kawę. Co więcej, na ich talerzykach widać smakowite (też na oko) torciki i rurki z kremem. Elegancy panowie i panie są w trakcie intelektualnych dyskursów, żywo gestykulują rękoma, na nadgarstkach których widnieją zagraniczne zegarki marki „Doxa”. Przemknęło mi przez myśl pytanie, po co tym burżujom zegarki, kiedy podobno szczęśliwi (i bogaci) czasu

nie liczą. Czarę mej proletariackiej goryczy dopełnił widok trzech wytwornych limuzyn radzieckiej marki „Pobieda”, zaparkowanych dość niedbale przed kawiarnią. Znając ze słuchu astronomiczną cenę tych pojazdów, policzyłem w myśli, że moja rodzina musiałaby nie jeść przez lat pięć, aby zaoszczędzić na kupno takiego, nawet używanego, samochodu.

Nagle umysł mój się rozjaśnił, a nawet zagorzał światłem wiadomości złego i dobrego. Mój gnuśny dotychczas mózg pojął bowiem, że pieniądze i „bogactwo” istnieją! Nawet tutaj, w naszym siermiężnym PRL-u! Ci ludzie za taflą szyby kawiarni „Stylowa” są tego najlepszym dowodem! Oni mają pieniądze. Na pewno nie pracowali na poczcie, jak mój ojciec, i „swojego świata” nie kupili za głodowe pensje. Jeśli więc realne pieniądze istnieją, to pozostaje tylko znaleźć do nich drogę! W tym momencie sam byłem zdumiony faktem, że nie czułem zazdrości. Naprawdę! Byłem im nawet wdzięczny za to, że są! Że są bogaci i że istnieją. To znaczy, że ja też mogę. Też mogę być bogaty! Oni byli dla mnie jakby drogowskazem. Cała reszta to pestka. A reszta to „tylko” czas i wysiłek.

To „moje” objawienie, objawienie możliwości dostąpienia bogactwa było tak silne, że na jakiś czas nawet odwróciło mą uwagę od czyhającej przecież na mnie za węgłem gruźliczej śmierci. Nieco później, już po finansowym „objawieniu”, kiedy zacząłem zarabiać własne pieniądze, plama na moim płucu zaczęła się zmniejszać, leczona dietą złożoną z kabanosów i suchej kiełbasy myśliwskiej. Zdjęcia rentgenowskie mych płuc, robione w następnych latach, teorię tę potwierdziły.

W kilka tygodni po tym cudownym objawieniu w dolinie rzek Odry i Oławki moje osobiste objawienie zaczęło stawać się rzeczywistością. Od czego się zaczęło? Od Opery Wrocławskiej usytuowanej w odległości zaledwie dwustu metrów od kawiarni „Stylowa”. Tam właśnie, z kilkoma kolegami, dostałem pierwsze zatrudnienie jako statysta. Bez mego udziału sukcesy baletu osnutego na tle chińskiej rewolucji, a zatytułowanego „Czerwony Mak” i baletu „Fontanna Bachczysaraju” byłyby pod znakiem

zapytania. Na pewno! Za pierwsze pieniądze zarobione w roli „aktora” kupiłem sobie... zegarek. Nowe buty musiały jeszcze poczekać do następnego roku. Na razie podzelałem stare.

Muszę wspomnieć, że najbardziej chwaliłem sobie balet „Czerwony Mak”, gdzie grałem rolę burżuja, ubranego w czarny smoking, siedzącego w kawiarni w Szanghaju, popijającego szampana, w czasie kiedy za oknem policja — na zlecenie kapitalistów — biła nahajami robotników. Nie przypuszczałem wtedy, że pięćdziesiąt lat później taką rolę, aczkolwiek bez smokingu, nahajki i policji, będę odgrywał w swym życiu codziennym. Chociaż nigdy nikomu nie zazdrościłem sukcesu czy bogactwa, muszę przyznać, że jednym z elementów napędowych mej działalności były przykre wspomnienia o biedzie i upokorzeniach przeżywanych przez mych rodziców przyjmujących od stryja weterynarza z Radomska zawiniętą w gazetę świńską wątrobę, a od drugiego stryja, z Kłomnic, zdechłą na „pomór”, oblepioną gliną (dla konserwacji) kurę. Z perspektywy siedemdziesięciu lat widzę siebie, że byłem dzieckiem cokolwiek krnąbrnym, ale i dumnym, co mi chyba na resztę życia zostało. Późniejsze własne doświadczenia dodały się do wspomnień z biednego dzieciństwa i ugruntowały mój charakter do końca.

Krzywki, czyli jak Janek ratował polski przemysł tekstylny

Moja podróż do Bielawy na Dolnym Śląsku wynikała z powodów demograficznych. Przeczytałem mianowicie we wrocławskiej „Gazecie Robotniczej”, że w Bielawie mieszczą się duże fabryki tekstylne, mające kłopot z nadmiarem dziewcząt. W tamtejszym przemyśle tekstylnym dziewięćdziesiąt procent pracowników stanowiły kobiety w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, czyli mieściły się w zakresie mych „naukowych” zainteresowań. Chłopów tam jak na lekarstwo, jako że do niski płatnej pracy w przedzalniach mężczyźni nigdy się nie nadawali

ani się też nie pchali. A dziewczyny w Bielawie jakoby usychają z tęsknoty za chłopakami. Kierowany obywatelskim obowiązkiem byłego ZMP-owca, wziąłem delegację z politechniki z zamiarem złożenia „wizyty handlowej” w bielawskiej fabryce włókienniczej, która zapewne w tamtych czasach nosiła imię radzieckiej prządki, Lidii Korabielnikowej, bijącej w ZSSR rekordy przędzalnicze albo być może jeszcze jakiejś innej, zasłużonej rewolucjonistki.



Fabryka włókiennicza w Bielawie

Po przyjeździe do miasta zgłosiłem się do dyrektora technicznego przędzalni z zapytaniem, czy fabryka nie wymaga jakichś konsultacji z dziedziny automatyki, elektroniki, nagłaśniania, wyciszania lub pomiaru wilgotności. Na wypadek gdyby nasze usługi były potrzebne, to oczywiście zespół naukowców pod kierunkiem profesora Bincera potrafi się „odpowiednio znaleźć w sytuacji”, przeznaczając dziesięcioprocentową prowizję dla dyrekcji fabryki. Dyrektor najpierw zbladł, podejrzewając

policyjną prowokację, a następnie wyszedł z pokoju. Zacząłem obawiać się, że może dzwoni do Urzędu Bezpieczeństwa, a ja zamiast wyjechać z Bielawy z zamówieniem i wspomnieniami natury erotycznej, zostanę wyprowadzony z fabryki w kajdan-kach jako wróg ludu pracującego. Po kwadransie, który dla mnie wydawał się wiecznością, dyrektor wrócił i powiedział, że co do elektroniki to nic mu nie jest potrzebne, gdyż do hałasu w przędzalni już przywykł, ale dalsze istnienie fabryki zależy od żeliwnych krzywek, czyli przewodnic nitki bawełnianej. Wyjął z teczki corpus delicti i położył na stole.

— Jeśli, towarzyszu inżynierze, zdołacie dostarczyć nam pięćset takich krzywek, to nie tylko ja, ale także Komitet Powiatowy PZPR w Dzierżonowie będziemy wdzięczni Politechnice Wrocławskiej za uratowanie produkcji — powiedział zdesperowany dyrektor.

Krzywka wyglądała jak zwichrowane koło rowerowe, z tym że była dużo mniejsza, o średnicy około dwudziestu pięciu centymetrów. Na obwodzie był wyfrezowany żłobek, który — jak wyjaśnił dyrektor — prowadził nitkę bawełnianą w czasie nawijania bawełny na szpulę w kształcie wrzeciona. Zadaniem skomplikowanego kształtu krzywki było przesuwanie nitki z mniejszą szybkością w centrum szpuli i szybciej na brzegach. W konsekwencji, szpule nawijane z pomocą tej krzywki wyglądały jak wrzeciona, a nie jak walce. Ten wrzecionowaty kształt szpul bawełnianych był konieczny dla maszyn tkackich. Wszystkie maszyny były produkcji niemieckiej, więc kilkaset takich krzywek zostało w magazynach jeszcze po Niemcach, ale w okresie ostatnich dziesięciu lat większość zainstalowanych krzywek popękała. Dyrekcja w związku z tym spodziewała się, że za dwa, trzy miesiące przędzalnia bawełny w Bielawie stanie z braku części zamiennych, czyli właśnie tych krzywek. Elementy te były zrobione z kruchego, ale twardego żeliwa, obrobionego frezarką, co było majstersztykiem techniki odlewniczej i dlatego nikt w polskim przemyśle państwowym nie chciał się podjąć ich produkcji. Było to w czasach, w których nie istniały jeszcze frezarki

sterowane komputerowo, dla których frezowanie zawiłych kształtów jest dziecinnie proste.

Zdegustowany, wziąłem model, czyli krzywkę razem z rysunkiem technicznym i udałem się do klubu pracowniczego, aby przy winie jabłkowym przyjrzeć się pracownikom przędzalni. W końcu po to tutaj przyjechałem. Okazało się jednak, że albo przyjechałem w zły dzień, w środku tygodnia, albo raporty o głodzie seksualnym w Bielawie były jak zwykle przez komunistyczną propagandę przesadzone, gdyż nie zauważyłem żadnego „obiekta” godnego „podrywania”, jak wtedy — w kręgach młodzieżowych — nazywano zaloty, używając terminu zapożyczonego z wędkarstwa. Rozczarowany, stwierdziłem, że dalszy pobyt w Bielawie to strata czasu. Okazało się, że jeszcze zdążę na ostatni autobus PKS-u do Wrocławia, więc udałem się pospiesznie na dworzec.

Kupując bilet, zauważyłem, że jestem obiektem obserwacji eleganckiego mężczyzny w średnim wieku, ubranego we flanelowy płaszcz koloru jasnoczekoladowego. Pomyślałem sobie, że personel Urzędu Bezpieczeństwa jest na moim tropie, a elegancki pan jest jego tajnym pracownikiem. Moje podejrzenia się wzmogły, kiedy przystojny pan tak manewrował między wsiadającymi pasażerami, aby usiąść na sąsiednim siedzeniu. Tajemniczy mężczyzna zrazu wdał się ze mną w towarzyską pogawędkę, pytając skąd jestem i dlaczego odwiedziłem Bielawę. Przedstawił się jako miejscowy lekarz, który właśnie wybiera się do wielkiego miasta Wrocławia, aby zakosztować kultury, opery, baletu i kina, czyli rzeczy wyraźnie deficytowych w powiecie dzierzoniowskim, do którego Bielawa należała. Mówiąc to, zaczął mi ścisnąć jedną ręką kolano i zaproponował, że gdybym kiedyś odwiedził jeszcze Bielawę, to jego dom i łóżko stoi dla mnie otworem. Jednocześnie wyjaśnił, że on darzy szczególną sympatią mężczyzn i mój intelekt jest dla niego nawet ważniejszy niż ma smukła sylwetka. A muszę dodać, że sylwetkę miałem w tamtych czasach bardzo smukłą, będącą wynikiem mych wyczerpujących zobowiązań w stosunku do poci pięknej, a także

wynikiem wygibasów czynionych na parkiecie tanecznym w studenckim klubie „Pałacyk”. Musiałem przystojnemu panu we flanelowym płaszczu wytłumaczyć, że ja nie mam uprzedzeń do jego zamiłowań męsko-męskich, ale me pasje są skierowane w zupełnie innym kierunku i nie obejmują ani chłopców, ani lekarzy, choćby byli nie wiem jak zamożni albo inteligentni. Moimi zainteresowaniami cieszą się prządki i lekarki! Nawet, jeśli są ubogie. Pomyślałem sobie, że może i w Bielawie jest pewnego rodzaju głód seksualny, ale raczej nie w kręgach, o których pisała „Gazeta Robotnicza”. Był to zatem kolejny dowód na kłamstwa i wypaczenia komunistycznej propagandy.

Po przyjeździe do Wrocławia położyłem krzywkę na biurku profesora Bincera i opisałem swą porażkę marketingową. Profesor popatrzył na krzywkę z niesmakiem i powiedział, że przedstawi ten projekt na Uczelnianej Komisji do Spraw Kwalifikacji Naukowych Zleceń jako „Kompleksowy Projekt Radiofonizacji i Nagłośnienia Zakładów Bawełnianych w Bielawie”. Niemniej on sam, jako elektronik, nie ma pojęcia, jak taką krzywkę zrobić, a nawet gdyby miał pojęcie, to w naszej katedrze mamy tylko dwa woltomierze, trzy śrubokręty i wiertarkę ręczną do drzewa, które to instrumenty nie są wystarczającym oprzyrządowaniem do wytopu i odlewania stali. Natomiast ja, jeśli zechcę w dalszym ciągu cieszyć się prestiżem naukowca, winieniem zabrać tę krzywkę z jego biurka i znaleźć kogoś, kto taki element wykona. I co dalej? Dalej to się ją już odpowiednio drogo sprzeda przędzalni w Bielawie, uwzględniając dziesięć procent prowizji dla towarzysza dyrektora technicznego.

Mój wuj, Eugeniusz Woyczyński, u którego w tym czasie mieszkalem, był inżynierem mechanikiem i pracował w dużych zakładach produkujących maszyny budowlane. Zanim stał się pracownikiem państwowym, miał we Wrocławiu odlewnię dzwonów kościelnych, którą jednak Państwo Ludowe mu zabrało. Wuj Eugeniusz, był kapitalista i przemysłowiec, pracując teraz na państwowej posiadzie, organizował zebrania robotnicze na hali maszyn i tłumaczył robotnikom, że pracować trzeba

uczciwie, niezależnie od tego, w jakim systemie się żyje. Takie wypowiedzi nie zaskarbiły mu wielu przyjaciół, ani wśród komunistów, ani wśród antykomunistów. Partia uważała, że zadanie indoktrynacji należy do partii, a robotnicy uważali, że zamiast „gadki szmatki” trzeba im przemawiać do ręki, albo do żołądka. Ogół uważał wuja za maniaka i dyrekcja w końcu usunęła go z produkcji, skazując na wygnanie do biblioteki technicznej, jako że znał kilka języków, a w bibliotece na szczęście nie mógł czytać rozkładu moralnego... wśród książek.

Wuj Eugeniusz w rzadkim dla siebie „momencie realizmu” skontaktował mnie z inżynierem Cesarzem, który był kierownikiem odlewni metali w fabryce, w której mój wuj był zatrudniony. Tam także pracował fachman, złota rączka, który potrafił budować z gliny formy odlewnicze, o jakich się innym wręcz nie śniło. Jego kwalifikacje zawodowe były jednak zahamowane systemem socjalistycznych wynagrodzeń. Zaistniała sugestia, że jeśli w ramach godzin pracy odleje i wyfrezuje krzywki takie same albo lepsze niż niemieckie, o jakości jakiej nie znajdzie się w całym systemie państw socjalistycznych, łącznie z NRD, to dostanie coś do rączki. O ile sobie przypominam cena za krzywkę, jaką płaciliśmy inżynierowi Cesarzowi, wynosiła dwieście pięćdziesiąt złotych. Jaki był podział tych pieniędzy między Cesarzem a mistrzem odlewniczym, pozostaje do dzisiaj niezgłębioną tajemnicą. Ważne było, że w ciągu najbliższych trzydziestu dni odebraliśmy od kierownika odlewni trzysta krzywek, które profesor Bincer wycenił na dziewięćset pięćdziesiąt złotych każda. W sumie dostarczyliśmy do Bielawy około sześciuset sztuk tych specyficznych elementów, które uratowały produkcję zakładów przędzalniczych i zapewniły ich funkcjonowanie w ciągu najbliższej dekady.

Politechnika zainkasowała z przędzalni w Bielawie za „prace naukowe i konsultacyjne w dziedzinie radiofonizacji” pięćset siedemdziesiąt tysięcy złotych. Z tej sumy zapłaciła sto pięćdziesiąt tysięcy złotych inżynierowi Cesarzowi wedle przykaza: „Co boskie Bogu, a co cesarskie Cesarzowi”. Z pozostałą,

pokaźną sumą należało coś zrobić. W tym momencie zaistniały pewne kłopoty natury formalnej. Na Politechnice Wrocławskiej asystent techniczny mojej rangi mógł zarabiać w ramach „konsultacji” piętnaście złotych na godzinę i pracować nie więcej niż czterdzieści godzin miesięcznie. Profesorowi chyba przysługiwało mniej godzin, ale stawka była wyższa i wynosiła sześćdziesiąt złotych za godzinę pracy. Moja miesięczna pensja wynosiła w tym czasie dwa tysiące złotych. Wobec takich realiów profesor Bincer sięgnął do swego „literackiego wsparcia”, czyli do historii opisaney przez Gogola, a dotyczącej martwych dusz pańszczyźnianych, które odegrały niebagatelną rolę podczas handlu posiadłościami ziemskimi w carskiej Rosji. Chodziło o to, że fikcyjnie zawyżano wartość posiadłości przez dopisywanie do listy żywych jej mieszkańców nazwisk osób, których dane personalne widniały na nagrobkach cmentarnych. Nam jednak potrzebne były żywe dusze, a nie martwe! Dusze przynajmniej na tyle żywe, aby mogły doczłapać do okienka kasjera, pobrać pieniądze, podpisać listę płac i przed ostatnim tchnieniem oddać nam dziewięćdziesiąt procent gotówki. Pozostałe dziesięć procent było powszechnie przyjętą zapłatą za fatygę i poniesione ryzyko prawne.

Naszym celem zatem było sztuczne zawyżenie liczby pracowników politechniki, którzy wykonywali prace związane z realizacją kontraktu dla Zakładów Bawełnianych w Bielawie. Musieliśmy przy tym wziąć pod uwagę, że każdy z nich winien pracować nie więcej niż czterdzieści godzin w miesiącu. Z dotrzymaniem tych wszystkich warunków były kłopoty, jako że inżynierowie na politechnice, łącznie ze mną, mieli swe własne prace zleczone i wyczerpany w ten sposób zasób dozwolonych godzin. Przyszło mi jednak do głowy, że pracownicy katedr: Marksizmu-Leninizmu i Ekonomii Politycznej nie mogli mieć prac zleconych z przemysłu, a formalnie byli do takich też uprawnieni. Moją misją było wytłumaczyć towarzyszącej marksistom, że naginając nieco niezyciowe prawo, nie tylko nie obalają systemu socjalistycznego, ale nawet go wzmacniają. Przecież to

oni są tego systemu podpora, a jeśli sobie dodatkowo zarobią dziesięć procent za podpis na liście płacy, to wzmocni to jedynie system socjalistyczny. Towarzysze marksściści rażno do projektu przystali, zainkasowali gotówkę i uczciwie — zgodnie z moralnością socjalistyczną — oddali nam nasze dziewięćdziesiąt procent. Dzisiaj widzę, że najwartościowszy materiał dla reformy systemu drzemał właśnie wśród marksistów, starszych kolegów późniejszego prezydenta wolnej Polski, Olusia Kwaśniewskiego, a także działaczy Solidarności — Kuronia i Geremka.

Rok 1958 — Janka zderzenie z angielskim kartoflem

Płynąc w roku 2008 z mą małżonką, Laurą, do Anglii statkiem „Queen Mary 2”, miałem okazję — w czasie obiadów — dzielić stół z angielskim farmerem z hrabstwa Lincolnshire. Okazało się,



Laura Damas-Czekajewska w drodze do Anglii na pokładzie „QM2”

Janek i Reniek piszą donos do UB

Po powrocie do Wrocławia, po Targach Poznańskich, latem 1961 roku, zamieszkałem czasowo u kolegi z czasów szkolnych, Reńka Odulińskiego. To właśnie wtedy stałem się przedmiotem zainteresowań Urzędu Bezpieczeństwa. Na początku chciałbym Czytelników poinformować, że moim pseudonimem operacyjnym nie był „Bolek” (to teraz takie modne), tylko „Janek” (czasami „Johnek”) i donosów do Urzędu Bezpieczeństwa nie wysyłałem. Ja je natomiast, owszem... pisałem. A jak je już napisałem, to Reniek dostarczał je wówczas „odnośnym władzom”. Właściwie praca nad donosami miała charakter zespołowy, gdyż nad tymi szczególnymi dokumentami pracowaliśmy obaj. Na podstawie ostatnio otrzymanych z IPN-u (Instytut Pamięi Narodowej) raportów pisanych przez oficerów Urzędu Bezpieczeństwa, czasami figuruję w donosach jako „Czek” (to chyba od „Czekajewski”), a czasami jako „Fizyk”, natomiast bezspornym faktem było to, że dłuższy czas byłem dla urzędników tego ministerstwa na tyle ważną postacią, że określano mnie mianem „figuranta”, czyli nadano mi status osoby pozostającej w kręgu zainteresowań operacyjnych SB.

Kiedy wróciłem do Wrocławia po moim pierwszym pobycie w Szwecji, mój powrót — jak już wspominałem — wywołał zdumienie, a nawet podejrzliwość Urzędu Bezpieczeństwa. W owym czasie jeśli komuś udało się wyrwać z objęć sierpniowego socjalizmu towarzysza Gomułki, to już do takiej Polski nie wracał. Dlaczego więc Czekajewski wrócił? Czy wrócił z zadaniem spenetrowania obronności krajów Układu Warszawskiego, czy też moralnego rozłożenia Polski Ludowej metodą szeptanej propagandy lub co gorsza, drwiny? Przed takim dylematem postawiłem bezwiednie, i całkiem niechcąc, cały aparat wrocławskiego UB.

Myśliciele z urzędu wojewódzkiego UB nie mogli moich intencji rozszyfrować, aczkolwiek sprawa sama w sobie była niezwykle prosta. Byłem oczarowany, a raczej zaczadzony obfitym

biustem pewnej studentki medycyny z Łodzi (o czym już dwukrotnie na łamach tej książki wspominam), a moje oczarowanie było w konflikcie moralnym z niefortunnym, a raczej przedwczesnym związkiem małżeńskim, do jakiego skłoniła mnie drobnym szantażem — jeszcze przed wyjazdem do Szwecji — inna urocza dziewczyna, tym razem wrocławianka, Elżbieta. Będąc wychowany na poezji romantyków, wierzyłem wtedy w monogamię uczuciową (proszę nie mylić z małżeńską) i dlatego, aby nabrać oddechu i perspektywy do tych spraw, po powrocie do PRL-u, zamiast wrócić do mej kawalerki we Wrocławiu przy ulicy Podwale, gdzie mieszkała moja ślubna podwójnie, bo cywilnie i kościelnie, wrocławianka, wyprosiłem kąpiel i łóżko u... Reńka Odulińskiego. Reniek, po studiach na Politechnice Częstochowskiej, dostał nakaz pracy i pokój „gościnny” we Wrocławskiej Fabryce Urządzeń Przemysłu Spożywczego mieszczącej się przy ulicy Krakowskiej. Mieszkanie Reńka było isticie spartańskie, gdyż pozbawione łazienki i ciepłej wody. Skarpetki trzeba było prać w zlewie, które to doświadczenie przydało mi się właśnie teraz, we wrześniu 2009 roku, kiedy mieszkając w pięciogwiazdkowym hotelu „Monopol”, skarpetki musiałem prać w... bidecie. Chciałbym ostrzec bogatych turystów, że granitowe umywalki w wyżej wymienionym hotelu, po jego wykwintnej renowacji, mogą spełniać rolę zaledwie... spluwaczek, ale do mycia ani do przepierki skarpetek nie nadają się zupełnie, z uwagi na swą centymetrową głębokość, a raczej płytkość. Ale to tylko tak na marginesie sprawy.

Ponieważ obserwacje mojej osoby przez agentów nie stwierdziły u mnie wyjazdów w okolice Legnicy, gdzie koncentrowały się siły zbrojne Układu Warszawskiego, gotowe w każdym momencie do ataku na wojska NATO, zwrócono się do Reńka, aby napisał charakterystykę mej tajemniczej osobowości. Być może zakładano, że śpiąc w tym samym co ja pokoju, Reniek podsłuchiwał tajemnice, które wyjawiałem, mamrocząc przez sen, albo że wyjawiałem je nieopatrznie w pijanym zwidzie. Reniek rozbrajająco szczerze zwrócił się do mnie z zapytaniem,

czy nie pomógłbym mu w tym trudnym i ambitnym polonistycznym zadaniu, gdyż on w polskiej ortografii był może i biegły, ale za to słaby w składni. Chciałbym wyjaśnić, że nowe kwestionariusze UB z gotowymi już zeznaniami, opracowane przez bratnią organizację w Związku Radzieckim, nie były jeszcze wtedy w powszechnym użyciu. Cóż miałem robić? Nie pomóc koledze? Chętnie się zgodziłem pomny wielu okazji, kiedy to Reniek chronił mnie od zdeformowania mojego szlachetnego oblicza i użębień. Często zdarzało się, że chuligani na zabawach tanecznych mylnie przyjmowali mój zalotny uśmiech jako drwiący i zwykle robili wysiłki, aby mi dokopać. Obecność Reńka u mego boku chłodziła ich młodzieńcze ambicje. Dlaczego? No, cóż Reniek zawsze górował nade mną wzrostem i tężyzną fizyczną, dlatego pełnił, i pełni do dzisiaj, funkcję mojego honorowego bodyguarda, czyli ochroniarza.

W pisaniu donosu najtrudniejszym było to, że nic ujemnego o sobie nie mogłem wymyślić, bo do głowy przychodziły mi wyłącznie same superlatywy. Bez dawki złych informacji, całkowicie pozytywna charakterystyka, budziłaby podejrzenie fałszywki. Po namyśle doszedłem do wniosku, że władza musi znać mój niewyparzony język i to, że PRL i komunę niejednokrotnie „robiłem w balona”. Zapodałem więc w mym elaboracie, że Czekajewski ma szkodliwe dla Polski Ludowej poczucie humoru, ale w gruncie rzeczy, w głębi serca, jest socjalistą, bo do kościoła nie chodzi, a zaświadczenie o odbyciu spowiedzi, konieczne do własnego ślubu, własnoręcznie sfałszował. Na dodatek, wbrew naciskom zacofanej rodziny, kleru i dewotek, Czekajewski nie poddał się bierzmowaniu! Reniek własnoręcznie przepisał mój elaborat, poprawiając błędy ortograficzne z „rz” i „ó” w roli głównej, z którymi walczyłem od dzieciństwa, a których obecność mogłaby mnie zdekonspirować. „Donos” Reniek podpisał własnym nazwiskiem i zaniósł na umówione spotkanie z „oficerem kontrolującym” czy też „prowadzącym”.

W czasie następnego kontaktu Władzy Ludowej z Reńkiem przy kawie i ciastku zwanym „wuzetką”, w kawiarni „Krysz-

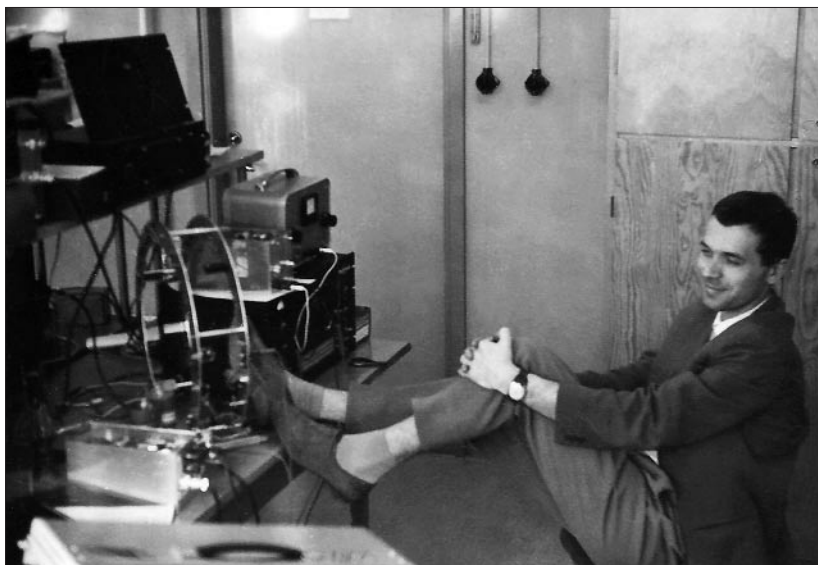
tałowa”, „kontakt” Reńka pogratulował mu talentu, który pozwolił „kontaktowi” spenetrować zagadki i tajniki duszy Jana Czajewskiego.

— Panie Reńku, takiego świetnego opracowania jeszcze nigdy nie dostaliśmy!

W tym aspekcie oficer chyba trochę przesadził, bo na pewno dużo lepsze donosy pod względem literackim pisał znany wrocławski literat, hrabia Wojciech Dzieduszycki, do czego się sam przed śmiercią przyznał. Oficer kontaktowy zapewnił Reńka, że jeśli kiedykolwiek zechciałby odbyć podróż na co prawda wrogi narodowi polskiemu, ale interesujący zachód, otrzyma paszport na pewno, bez problemu.

— Panie Reńku, niech pan się nie krępuje i proszę dzwonić do mnie, jeśli jakaś pomoc będzie potrzebna –zaoferował oficer.

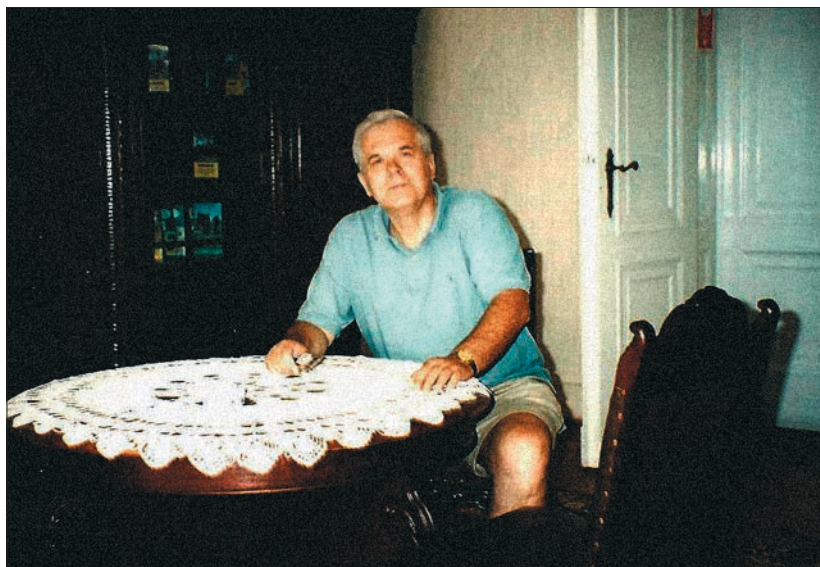
Kiedy już władza ludowa poznała moją duszę na wylot, pewnego ranka na przystanku tramwajowym podszedł do mnie młody człowiek ubrany — dla kamuflażu — w wyświechtany, można by powiedzieć, plugawy, długi płaszcz i powiedział, że pewien oficer z polskiego kontrwywiadu chciałby ze mną porozmawiać na temat mego pobytu w Szwecji. Zaproszono mnie wtedy do tego samego hotelu „Monopol”, w którym mieszkałem z Reńkiem we wrześniu 2009 roku. Kontrwywiadowca odebrał klucz od portiera i zaprowadził mnie do apartamentu nr 101 na pierwszym piętrze, w którym wedle jego opowieści mieszkał Hitler, kiedy przyjeżdżał do Breslau. Jak się domyśliłem, luksusowy apartament był wynajmowany „na godziny” w celu... oszołomienia „interesantów” UB-eckim przepychem. Tam poproszono mnie o informacje na temat tego, czym zajmowałem się w Szwecji. Opowiedziałem szczerze o wszystkim i jako dowód do zeznań załączyłem otrzymaną właśnie odbitkę publikacji w amerykańskim czasopiśmie „Electronics”, opisującą skonstruowany przeze mnie przyrząd do liczenia nietoperzy zamieszkujących szwedzkie jaskinie. Moje wiadomości o nietoperzach nie wzbudziły wielkiego zainteresowania, mimo że są to zwierzęta nad wyraz tajemnicze, latające w ciemności i posługujące się własnym radarem.



Ja z prototypem licznika nietoperzy. Uppsala, 1961

Opowiedziałem oficerowi także o bardzo mdłej diecie, do jakiej byłem zmuszony, jadając w stołówce szpitala uniwersyteckiego, ale mój słuchacz nalegał, abym zdał relacje o ludziach, jakich spotkałem w Szwecji. Zacząłem wspominać znajome Szwedki, które traktują nas, mężczyzn, użytkowo i fizjologicznie, a nie jak nasze Polki, duchowo i uczuciowo, ale i te informacje nie znalazły u niego spodziewanego zainteresowania. Wyraźnie pruderyjny kontrwywiadowiec bąknął, że: „My wszystko o Szwedkach wiemy, chodzi nam natomiast o Polaków, którzy szkalują PRL, srając we własne gniazdo”. Niestety nic nie wiedziałem o Polakach, szczególnie tych, co srają we własne gniazdo, więc oficer skończył wywiad ze mną i uprzejmie nakazał, nieco zde gustowany, abym niepozornie opuścił apartament Hitlera, nie czekając na niego.

Apartament 101 zapadł mi głęboko w pamięć i kiedy w roku 1990 przyjechałem ponownie do Wrocławia z moją amerykańską,



Hotel „Monopol”. Apartament 101

wówczas jeszcze oblubienicą, nalegałem, aby zamieszkać w tym samym apartamencie. Moja współtowarzyszka łoża i stołu nie wiedziała, że szczególną uciechę miałem w toalecie, kiedy siusając, puszczałem wodze fantazji, wyobrażając sobie, iż czasami siusiam na spodnie Furera, a czasami na głowę pracownika UB-eckiego kontrwywiadu. O ile sobie przypominam, w tamtych latach, przed renowacją hotelu „Monopol”, w owym słynnym apartamencie nr 101, mogłem prać skarpetki w umywalce, a nie jak dwadzieścia lat później, w „pięciogwiazdkowym bidecie”. Do dzisiaj męczy mnie pytanie, czy Hitler też sam sobie prał skarpetki, czy prała mu Ewa Braun. Ani wtedy, ani dzisiaj nikt nie może odpowiedzieć mi na nie.

No, a co stało się z Reńkiem? Otóż, wkrótce po tych wydarzeniach „donosiciel” Reniek opuścił PRL pojazdem jednośladowym, czyli motocyklem marki „Jawa 350”, ze zdecydowanym przekonaniem, że do ojczyzny już nie powróci tak długo, jak

długo PRL będzie istnieć, motywując swą decyzję także tym, że jego stała wrocławska dieta składająca się z rosółu z makaronem i rurek z kremem doszczętnie mu już obrzydła. Tak się złożyło, że prawie po pięćdziesięciu latach przybyłem z Reńkiem do Wrocławia i zamieszkaliśmy w tym samym hotelu „Monopol”. A więc Reniek „troszkę” wracał do ojczyzny. Czasami.



Hotel „Monopol” we Wrocławiu (rok 2009)

Drugi wyjazd do „Północnego Nieba”

Był rok 1962, szósty rok epoki miłościwie nam panującego Towarzysza Wiesława (Gomułki). Kończył się właśnie rok mej pracy asystenta w Instytucie Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdzie zważył mnie niecie profesor Włodzimierz Żuk. Mój powrót do Polski — o czym wspominałem wyżej — był więc zaskoczeniem dla wielu osób, zarówno mi przyjaznych, jak i wrogich. Był na pewno dużym zaskocze-

niem dla Urzędu Bezpieczeństwa, który to urząd w owych czasach bardzo troszczył się o to, by nie było ubytków w obiecującym naukowym narybku, by nie opuszczał on swego ojczystego kraju i nie wyjeżdżał na wraży ideologicznie zachód, a jednocześnie paranoiczne bał się tych, którzy po wyjeździe jednak wracali.

Miałem dwadzieścia osiem lat, bujną, czarną czuprynę, ukończone studia elektroniczne na Politechnice Wrocławskiej i odbyty roczny staż w szwedzkim Instytucie Fizyki w Uppsali. Poza tym mogłem tańczyć boogie-woogie całą noc, co nie znaczy, że byłem kompletnie szczęśliwy. Moje życie osobiste było nieco zagmatwane. Mieszkałem na tak zwaną kocią łapę z moją późniejszą drugą byłą żoną, Zofią, i byłem jednocześnie formalnie żonaty z moją pierwszą byłą żoną, Elżbietą. Wewnętrznie byłem rozdarty, jako że obie panie reprezentowały dwie różne piękności duszy i... biustów, nawzajem się uzupełniały, co — przyznając — odpowiadało mi, ale było niemożliwe do pogodzenia w sferze monogamicznej moralności katolickiej, jakiej w owym czasie hołdowałem. W tej sytuacji przychodziło mi do głowy, że powtórny wyjazd do Szwecji pozwoli mi na nabranie koniecznej perspektywy dla obiektywnej oceny walorów obu pań, a także umożliwi mi porównanie ich z „przodującymi kobiecymi standardami”, w jakie obfitują kraje zachodniej i północnej Europy. Taki był więc powód powtórnego wyjazdu na północ kontynentu.

Ale zanim drugi raz wyjechałem do Szwecji, to po raz pierwszy (i jedyny) przyjechałem do Lublina. Z Zofią. Po przyjeździe okazało się, że uniwersytet nie ma dla mnie mieszkania, a wielu adiunktów i docentów habilitowanych mieszka od lat, razem z rodzinami, w pojedynczych pokojach domów akademickich. Rektorat zaoferował mi zatem łóżko w uniwersyteckim pokoju gościnnym, mieszczącym się w suterenie jednego z żeńskich akademików. W pokoju tym były dwa żelazne łóżka; do jednego z nich miałem niezaprzeczone prawo, drugie natomiast należało w każdym momencie odstąpić wizytującym uczonym, którzy od czasu do czasu przybywali do Lubina z gościnnymi wykładami.

Kłopot był z Zofią, gdyż obawiałem się, że wizytujący uczeni nie zadowolą się jedynie żelaznym łóżkiem, ale zapragną korzystać z obfitych walorów Zofii. W swej naiwności, wychowany w tępo ciosanej kulturze heteroseksualnego socjalizmu, nie byłem wtedy świadom zagrożenia, jakie osobiście groziło mi ze strony amatorów układu męsko-męskiego. Szybko jednak o takim zagrożeniu przekonałem się, gdy pewnej zimowej nocy zapukał do drzwi zmoknięty profesor z Łodzi, aspirujący do drugiego żelaznego łóżka. Biedak, zawiedziony brakiem mej seksualnej otwartości, poczłapał, smagany deszczem, na zasłużony wypoczynek do odległej poczekalni lubelskiego dworca kolei żelaznej. Opisuję tutaj tę scenkę, dedykując ją przede wszystkim młodemu pokoleniu, które niewiele wie, z jakimi problemami lokalowymi borykała się polska nauka w dobie tak zwanej odwilży popaździernikowej.

Janka paszport, czyli dialektyczna różnica między ciocią a pracą

Wyjeżdżając ze Szwecji (po pierwszym pobycie), mój szef, profesor Per Arno Tove, wręczył mi zaproszenie do pracy w jego Instytucie. Datę, której było brak na zaproszeniu, miałem sam wpisać, gdy zdecyduję się na powrót do Uppsali. Taką decyzję podjąłem w czerwcu 1962 roku, kiedy to postanowiłem otrzymane zaproszenie wykorzystać. Zaproszenie co prawda rozwiązywało sprawę szwedzkiej wizy i pracy, ale nie zapewniało polskiego paszportu. Ówczesne przepisy paszportowe przewidywały wyjazdy do cioci za granicę, ale nie do pracy. Paszport na wyjazd na staż naukowy był tylko wydawany „za poparciem” Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Dodatkowe zatrudnienia mogły zaistnieć także po drodze w postaci wymaganych innych „poparc”, na przykład dyrektora Instytutu Naukowego i rektora uczelni. W Ministerstwie Szkolnictwa

Wyższego, w owym czasie, istniała specjalna komisja kwalifikująca wyjazdy, której przewodziła stara komunistka, wiceminister Krasowska.

Najmniej kłopotu miałem z profesorem Żukiem, który był zainteresowany utrzymaniem dobrych stosunków z uniwersyte-tem w Uppsali, a może także nadzieją na powtórny tam powrót. Profesor wystosował urzędowo brzmiące pismo, w którym informował Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, że wyjazd magistra inżyniera Jana Czekajewskiego do Uppsali jest konieczny z uwagi na jego (czyli mój) udział w pięcioletnim planie badań naukowych w dziedzinie „korelacji kątowych”. Ponieważ profesor Żuk utrzymywał dobre stosunki z rektorem uniwersytetu, profesorem Grzegorzem Seidlerem, jego poparcie było czystą formalnością. Kierownik Katedry Fizyki Ogólnej, profesor doktor Armin



Profesor Włodzimierz Żuk, kierownik Katedry Fizyki Doświadczalnej (Lublin)

Teske, również napisał rekomendację. Teczka z „pochlebnyymi” o mnie dokumentami powędrowała do ministerstwa w Warszawie i sprawa mego wyjazdu nabrała urzędowego biegu. Mijał miesiąc za miesiącem, kończyły się wakacje, a odpowiedzi z Warszawy nie było.

Saperski kamuflaż

Pewnego jesiennego poranka, wychodząc do pracy z mego „gościnnego” pokoju, minąłem zmokniętego żołnierza z oficjalnie wyglądającą kopertą w ręce. Żołnierz ten zapukał do moich drzwi, które otworzyła moja druga była żona, Zofia, i zapytał ją o mnie. Zofia szybko zorientowała się, że taka koperta niczego dobrego nie wróży, bystro więc odpowiedziała, że z tym łajdakiem, Czeka-jewskim, nie rozmawia, w domu go nie ma i nie wiadomo, kiedy wróci. W każdym razie koperty nie przyjmie i pośrednikiem Ludowego Wojska Polskiego nie będzie. Rozmowę tę słyszałem skryty za węglem. Kiedy się upewniłem, że wojak odszedł, wróciłem do domu i zaczęliśmy rozpatrywać alternatywy ratunku. Jasne było dla mnie, że Urząd Bezpieczeństwa, aby unie-możliwić mój wyjazd, stosował jedną z wypróbowanych metod, czyli powołanie do wojska na ćwiczenia. Wiadomo było, że jeśli nawet wyjdę z wojska, nie będę mógł wyjeżdżać przez kilka lat za granicę, gdyż jako bojowo przeszkolony podchorąży, mógłbym wyjawić Amerykanom tajemnice strategii ludowej polskiej armii, a może i całego Układu Warszawskiego, czyli zrobiłbym coś takiego jak pułkownik Kukliński.

Aby zyskać na czasie, spakowaliśmy skromny dobytek w walizki i wyjechaliśmy następnym pociągami do Warszawy, ciągle licząc, że opóźnienie z wydaniem mego paszportu jest wynikiem zwykłej biurokracji. Na stacji Warszawa Wschodnia, w tłoku przy wysiadaniu, ukradziono nam jedną z walizek, co tym bardziej nie poprawiło mego samopoczucia. W Warszawie zamieszkaliśmy z Zofią przy ulicy Olimpijskiej 39, na Mokotowie, w willi

jej wujka, „podziemnego przedsiębiorcy”, Zygmunta Krauzego, człowieka o bardzo barwnym charakterze, o którym w dalszej części książki napiszę więcej.

Zacząłem swe codzienne wizyty do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego przy ulicy Miodowej, pytając o mój paszport. Mijały dni, a w międzyczasie z Lublina dochodziły niepokojące słuchy, że WKR postawiła przed Instytutem Fizyki żołnierza, mającego uchwycić moment, w którym pojawię się w pracy. Czułem, że jeśli nie dostanę paszportu, a mój pobyt w Warszawie się przeciągnie, mogę zostać oskarżony o dezercję. Nadal Wydział Zagraniczny w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego nie dawał mi żadnej odpowiedzi.



Budynek Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego w latach 1960-67, Warszawa, ulica Miodowa

Socjalistyczna wartość kolorowego długopisu

Zdesperowany, nerwowo przemierzając ministerialny korytarz, natknąłem się na znajomą twarz kolegi Soszyńskiego, byłego pracownika Biura Podróży Związku Studentów Polskich, dla którego dziewczyny, trzy lata temu, załatwiliśmy z Renkiem Odulińskim „atrakcyjny” wyjazd do Anglii na kopanie kartofli. Jak już wspominałem, ZSP załatwił nam wtedy paszporty na zasadzie cichej umowy, według której do naszej wyjazdowej paczki dołączą dziewczyny działaczy tej organizacji. Angielskie zaproszenie zorganizował Reniek w czasie poprzedniego pobytu u swego londyńskiego wujka. Tak czy inaczej kolega Soszyński spadł mi wtedy z nieba, bo okazało się, że pracuje teraz w Wydziale Zagranicznym Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i przygotowuje opinie dla komisji do spraw wyjazdów zagranicznych. Po zapoznaniu się z moją sytuacją — element wojskowy został pominięty — Soszyński zaofiarował mi swoją pomoc. Poinformował mnie, że czekanie na paszport nie ma żadnego sensu, jako że paszportu i tak nie dostanę, gdyż prośba rektora UMCS z Lublina dotycząca mego wyjazdu została odrzucona na jednym z zebrań wyżej wymienionej komisji przez towarzyszkę wiceminister Krasowską. Na moich dokumentach towarzyszka Krasowska napisała „odrzucić z powodu imiennego zaproszenia”. Pani minister poczuła się obrażona, że uniwersytet w Uppsali zaprasza kogoś imiennie, podczas gdy polskie ministerstwo wie przecież lepiej, kto winien pojechać na stypendium i ma do tego celu lepszych, bo partyjnych kandydatów.

Soszyński, widząc rozpacz w mych oczach, wspomniął, że sprawa nie jest stracona, jako że komisja zbiera się co dwa tygodnie, i on me papiery przedstawi powtórnie, opiniując je pozytywnie i zakładając, że towarzyszka Krasowska nie będzie pamiętać mej sprawy, albo w ogóle tego dnia nie będzie brała udziału w komisji. Za takie perspektywy gotowy byłem obiecać Soszyńskiemu złote góry! Kolega miał natomiast do mnie tylko jedną małą prośbę o treści jak następuje:

— Wiesz, bracie, ja mam taki długopis, czterokolorowy, którym zaznaczam ważność dokumentów ministerialnych. Niestety kolorowe wkłady się wykończyły i mój długopis stał się bezużyteczny. Jak, bracie, pojedziesz na zachód, to przywieź mi takie właśnie wkłady do długopisu — powiedział skromnie.

Soszyński dotrzymał słowa i w następnym tygodniu przedstawił moją pozytywnie zaopiniowaną sprawę ministerialnej komisji wyjazdowej. Moja, zatwierdzona przez ministerstwo teczka, powędrowała do Biura Paszportowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MSW). Tam jednak, jak na razie, nie miałem „chodów” i dlatego obawiałem się, że jeśli macki lubelskiego UB i wojska sięgają aż tam, to paszportu i tak mogą nie dostać. Podjąłem więc dodatkowe starania.

Wpływ prącia marszałka Sejmu na Janka paszport

W Warszawie mieszkał w tym czasie mój szkolny kolega, Witek Paluchowski, którego żona, jak się okazało, pracowała jako sekretarka w Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym, pseudopartii, stworzonej dla mydlenia oczu naiwnym, że komuna toleruje wielopartyjność. Na czele ZSL-u, w owym czasie, stał marszałek Sejmu, Wycech, figurant PZPR-u, który nie miał już większych politycznych ambicji, poza utrzymaniem swego prącia w możliwie sprawnej formie. W momencie kiedy rozgrywał się dramat mego paszportu, marszałek Wycech bawił w Szwajcarii podobno na kuracji hormonalnej, polegającej na wstrzykiwaniu pacjentom wyciągu z byczych jąder. Czy kuracja była skuteczna, należałoby spytać bliskich stronnictwu i Sejmowi pięknych pań. Jego prawą ręką był niejaki Kamiński, któremu zostałem przedstawiony. Muszę przyznać, że pan Kamiński sprawnie zajął się moją sprawą i natychmiast zadzwonił do Biura Paszportów, posługując się specjalną rządową linią telefoniczną („wysokiej częstotliwości”), zastrzeżoną do użytku marszałka Sejmu i jemu podobnych rangą. Kamiński wyjaśnił osobie po drugiej stronie kabla, że

stronnictwu „bardzo zależy”, aby ten młody naukowiec dostał szybko paszport, gdyż interesy stronnictwa tego wymagają. W rewanżu obiecałem panu Kamińskiemu i jego małżonce zaproszenie do Szwecji, jak tylko się tam „ustabilizuję”. Chcąc się wykazać zrozumieniem sytuacji, zaprosiłem go do restauracji na ucztę, czyli popijawę. Kamiński jednak odmówił, ostrzegając, że utracjusze uczęszczający do warszawskich restauracji, są pod baczna obserwacją agentów UB. Postanowiliśmy zatem zorganizować biesiadę w wili wuja Zofii na Mokotowie, co miało tę zaletę, że wuj Krauze mógł dotrzymać kroku każdemu wytrawnemu pijusowi, a zatem w pełni kwalifikował się na mego „alkoholowego pełnomocnika”.

Niwelacja różnic klasowych za pomocą czystej wyborowej

Na libację Kamiński przyjechał wytworną, czarną limuzyną marki „Wołga”, kierowaną przez zaufanego szofera. Zaufanie do szofera miało jednak u towarzysza Kamińskiego pewne granice, jako że nie wziął go ze sobą na imprezę, a zostawił przed domem, gdzie tenże przez kilka godzin trwania libacji dziarsko, dla rozgrzewki, przytupywał sobie na chłodzie.

Po pierwszym litrze czystej wyborowej panowie Krauze i Kamiński wyraźnie przypadli sobie do gustu. Prawa ręka Wycecha namawiał wuja Zofii, aby wstąpił do partii, gdzie czekałaby go błyskotliwa kariera. Wuj Krauze wypytywał towarzysza Kamińskiego o szczegóły beneficjów wynikających z piastowania partyjnego urzędu. Wuj był wyraźnie wzruszony faktem, że ktoś pierwszy raz w jego życiu oferuje mu pracę, gdyż dotychczas zawsze było odwrotnie — to on zatrudniał innych. Dodatkowym argumentem w sprawie, który miał przekonać gospodarza o konieczności zmiany pracy, było wywijanie pod nosem wuja zgrabnym belgijskim rewolwerem, symbolem władzy

i zaufania, jakim partia i rząd darzyła swoich urzędników wysokiej rangi. W odpowiedzi wuj zgrabnie strzelił palcami, na co ukazał się pan Jasiu pełniący u wuja funkcję lokaja. Jasiu wyrecytował towarzyszowi Kamińskiemu swe dzienne obowiązki, które między innymi składały się z gotowania jajka wedle upodobania swego pana i dopasowywania właściwej temperatury jego rannej kąpieli. Niestety, wysokiej rangi urzędnik ZSL-u na pewno nie miał nikogo takiego, kto spełniałby zachcianki wuja Krauzego, może poza zmarzniętym, tupiącym przed domem szoferem. Ten jednak nie mógł mieszkać ze swym przełożonym z dwóch powodów: po pierwsze, towarzysz Kamiński miał bardzo atrakcyjną, młodą żonę z wydatnym biustem, a po drugie, w jego służbowym apartamencie M-2 nie starczyłoby miejsca na dodatkowe łóżko. W połowie następnego litra wódki panowie K & K popłakali się nieco, wspominając piękno Wileńszczyzny, po czym wzajemnie się podpierając, zeszli do garażu, gdzie wuj Krauze trzymał dwa samochody, wielkiego mercedesa w perlistym kolorze i chevroleta impalę w kolorze antique gold, jedyne, jaki w tym kolorze pomykał wówczas ulicami Warszawy.

Perlisty mercedes jeszcze niedawno należał do łódzkiego biskupa Klepacza, który dostał go jako „dar z nieba”, przekazany mu za pośrednictwem byłych parafian mieszkających teraz w Chicago. Biskup czuł się wszakże nieswojo, jeżdżąc w takim niebiańskim luksusie, więc sprzedał mercedesa wujowi. Chevroleta impalę wuj Zofii kupił sam, z dochodów pochodzących z eksportu do Moskwy czerwonych, „ceremonialnych” goździków. Jak wiadomo czerwone goździki to kwiat, bez którego żaden pierwszy sekretarz KPZR nie mógł być mianowany lub... pochowany. Wuj Krauze znał tajemnicę hodowli czerwonych goździków, tajemnicę, której nawet KGB nie było w stanie wykraść, a rząd i partia wprowadzić do radzieckich kołchozów.

Po zapoznaniu się z automobilowym bogactwem wuja gość stracił swój ostatni argument, jakim była sowiecka limuzyna marki „Wołga” i zaczął dopytywać się, jak można zapisać się do... kapitalistów. Tak na marginesie sprawy, to mam nadzieję,

że towarzysz Kamiński doczekał się kapitalizmu i dzisiaj jeździ swym własnym perlistym mercedesem. Muszę również dodać, że kiedy w latach osiemdziesiątych odwiedziłem Warszawę, udałem się do siedziby Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego z zamiarem podziękowania panu Kamińskiemu za paszportowe przysługi sprzed lat. Na mój widok człowiek ten przestraszył się i zapytał z trwogą:

— Panie Janku, czy się pan nie boi tu przyjeżdżać? Nie wyobraża pan sobie, jakie miałem z pana powodu kłopoty!

Chodziło mu chyba o to, że wtedy, faktycznie, zdenerwowałem UB-eków moją emigracją do Stanów Zjednoczonych i prośbą o szwedzki azyl. Może i wówczas Kamiński miał trochę problemów z mojego powodu. Ale w latach osiemdziesiątych, przyjeżdżając do Polski, już naprawdę nie miałem się czego obawiać. Czasy stawały się inne. Stary system polityczny rozlatywał się i UB-ecy zajęli się celami daleko bardziej życiowymi. Interesowało ich to, jak się „sprywatyzować”, a o moich grzeszkach już dawno zapomnieli. Byliśmy wszyscy raczej po tej samej stronie barykady, z tym tylko, że ja miałem dolary, a oni chcieli się dopiero tych dolarów nachapać.

Cud w Lublinie

Następnego dnia bolała mnie głowa! Doświadczałem sromotnego kaca. Mimo to szczęście mnie rozpiekało! Wymarzony paszport czekał na mnie w ministerstwie. Pozostawała jedynie drobna sprawa uregulowania mego stosunku do wojska, gdyż przy uporze wojaków, mogli mnie jeszcze zatrzymać na granicy. Z paszportem w rękę pojechałem do Lublina, aby wytłumaczyć Wojskowej Komisji Rejonowej, że władza ludowa ma dla mnie inne, ważniejsze zadania. W lubelskiej WKR zaraz przy drzwiach wejściowych natknąłem się na barykadę w postaci biurka ze starszym sierżantem, który zbeształ mnie za opieszałość i wyciągnął dłoń z biletem kolejowym do odległej jednostki woj-

skowej w województwie szczecińskim, w której to jednostce miałem odbyć służbę wojskową. Zacząłem żołnierzowi tłumaczyć, że niestety nie skorzystam z biletu, jako że jestem delegowany do Szwecji przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego. Moja argumentacja wprawiła sierżanta w wesołość, jako że wedle niego, w Polsce istnieje tylko jedno ministerstwo i nazywa się Ministerstwem Obrony Narodowej. Obawiając się aresztowania, sądu polowego i natychmiastowej, bez rozgrzeszenia, egzekucji na zapleczach pobliskiego KUL-u, wycofałem się zgrabnie na z góry upatrzoną pozycję, czyli po prostu dałem dyla.

Czułem teraz, że minuty mojej wolności są policzone i tylko cud może mnie uratować. Co też się niebawem stało. A jak się stało, zaraz opowiem. Trapiiony trwogą, bezwiednie błąkając się po Lublinie, natknąłem się przypadkiem na dziekana Wydziału Fizyki Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, profesora Armina Teske, z którym spotykaliśmy się na tygodniowych herbatkach naukowych, organizowanych przez profesora Włodzimierza Żuka, mego bezpośredniego przełożonego. Rozważając tę sytuację po latach, jestem przekonany, że pod postacią profesora Teske ukrywał się mój Anioł Stróż, wysłany z Nieba, z poleceniem przedłużenia mego życia do czasu powrotu na drogę Cnoty i Wiary. Po zapoznaniu się z tą tragiczną sytuacją, profesor vel Anioł Stróż, podniósł wzrok do Nieba i stamtąd spłynął na niego laserowy promyk natchnienia z zakodowaną cyfrowo rekomendacją, że tylko partia, i to ta najważniejsza, czyli PZPR, może mnie jeszcze uratować. Niestety — a może na szczęście — do PZPR nie należałem. Jako bezpartyjny syn pracującego inteligenta, wracający na łono prawowitej władzy, skomlący o pomoc, mogłem budzić większe zaufanie niż skłonny do strajków, szeregowy, proletariacki członek partii. Wypadki poznańskie z 1956 roku były jeszcze świeżo w partyjnej pamięci. Pomysł — o czym wiadomo każdemu przedsiębiorcy — jest wart tylko dziesięć procent całego przedsięwzięcia. Pozostałe dziewięćdziesiąt trzeba improwizować. Najważniejsze w tym wszystkim było tak zwane „dojście” do wpływowych, partyjnych czynników.

Janek inżynierem ludzkich dusz

Towarzysz Stalin, geniusz wojskowy i naukowiec wszech czasów, nazywał pisarzy i dziennikarzy „inżynierami ludzkich dusz”. Tak się złożyło, że będąc uprzednio w Szwecji, wybrałem się na wycieczkę do Paryża. Reportaż z tej wycieczki wysłałem do „Sztandaru Ludu”, organu prasowego, będącego oficjalnym dziennikiem lubelskiej organizacji partyjnej. Spiesznie więc udałem się do Komitetu Wojewódzkiego PZPR, gdzie mieściła się redakcja dziennika i poprosiłem o rozmowę z naczelnym, którego zapewniłem, że jeśli wyjadę powtórnie do Szwecji, to organ będzie miał we mnie zagranicznego korespondenta. Już moją to rolę będzie „właściwie” uwypuklać negatywne strony życia w kapitalizmie i w ten sposób przekonywać obywateli Lubelszczyzny o tym, że nie ma innego kraju, gdzie człowiek może tak „dyszeć” wolnością jak Polska.

Redaktor naczelny przedstawił mnie drugiemu sekretarzowi Komitetu Wojewódzkiego Partii, któremu — posługując się teorią k(w)antową — wyjaśniłem zalety energii atomowej i jej rozwój w najbliższej pięcioletce. Mimochodem wzmiankowałem również o kłodach, jakie rzuca lawinowemu rozwojowi Polski Ludowej, instytucja tak „prowincjonalna” jak Wojskowa Komisja Rejonowa w Lublinie. Okazało się jednak, że drugi sekretarz i szef WKR-u byli razem w komunistycznej partyzantce i są w dalszym ciągu kolesiami, szczególnie do wypitki. W krótkiej rozmowie telefonicznej drugi wytłumaczył komendantowi, że moje wezwanie na przeszkolenie wojskowe jest wręcz tragiczną pomyłką i skierował mnie ponownie do WKR z żelaznym zapewnieniem, że szkolenie będzie odroczone do momentu mego powrotu. Niestety, kiedy przekroczyłem ponownie wrota wojskowej instytucji, natknąłem się na tego samego starszego sierżanta, którego twarz na mój widok rozjaśniła się szerokim, słowiańskim uśmiechem. Sierżant wytłumaczył mi obraźliwie, że nic mu nie wiadomo o interwencji partii, a on sam podlega tylko jednemu autorytetowi, jakim jest Ministerstwo Obrony


Narodowej. Ja tymczasem odkrywając w jego „biurowym” systemie fortecznym szczelinę, na tyle szeroką, że mógł się w niej zmieścić nawet dobrze odżywiony saper (od dawna byłem przydzielony do wojsk saperskich), pozytywnie oceniwszy strategiczną sytuację, rzuciłem się przez tę szczelinę ku schodom wiodącym na drugie piętro, gdzie urzędował kumpel drugiego sekretarza.

Pułkownik K. przyjął mnie serdecznie. Zdziwił się, przeglądając książeczkę wojskową, że moja wiedza na temat obronności jest wyraźnie przestarzała z uwagi na brak okresowych ćwiczeń. Wy tłumaczyłem mu wszakże, że w przeszłości ludowa ojczyzna wyznaczała mi inne ważne zadania, które zawsze były w konflikcie czasowym z ćwiczeniami wojskowymi. Rzeczywisty powód był oczywiście zupełnie innej natury — fizjologiczno-psychologicznej. Do niczego nie miałem tak wielkiego wstrętu jak do wojska pozostającego w „dozgonnej przyjaźni z bratnią armią czerwoną”. W drugiej kolejności plasował się u mnie kolejny wstręt. Wstręt do rannego wstawania. Wojsko, niestety, budzi żołnierzy o godzinie 5.00 lub 6.00 rano, a czasem każe walczyć też nocą! Może i bym się nawet do wojska przekonał, ale musiałoby to być wojsko popołudniowe, czynne między godziną 14.00 a 17.00, dobrze płatne, najlepiej stosujące umowy „o dzieło” i oczywiście bezpieczne dla życia i zdrowia! Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że po blisko pięćdziesięciu latach takie właśnie wojsko zaistnieje w Ameryce i będzie się nazywać „kontraktowe”. Niestety teraz z uwagi na mój „dojrzały” wiek i zamięłowania, reflektowałbym jedynie na pozycję wodza naczelnego, które to stanowisko przypada jedynie koleżkom z amerykańskiej nomenklatury. Powołanie do wojska jest jedną z mar, jakie do dzisiaj mnie trapią, kiedy zjem coś niestrawnego, na przykład surową cebulę.

Zbliżając się do wyjścia, miałem ochotę pokazać zdziwionemu sierżantowi tak zwanego wała, ale będąc dżentelmenem, odwdzięczyłem się tylko, podobnym do jego, szerokim słowiańskim uśmiechem.

LEGITYMACJA WOJSKOWA
OFICERA REZERWY

Seria: **HŁ** Nr **0104203**



1. *Czekajewski*
nazwisko

2. *Jan Andrzej*
Imiona

3. *Franciszek Honorata*
Imiona rodziców

4. Data i miejsce urodzenia
16 grudnia 1934
Częstochowa
woj. katowickie

5. Stopień oficerski w chwili wydania legitymacji
wojskowej
podporucznik

Rozkaz personalny *MON*

Nr *0647* z dnia *30.12.1958.*

J. Czekajewski
Własnoręczny podpis

Moja legitymacja wojskowa oficera rezerwy

Do Szwecji wyjechałem następnego dnia pociągiem z Warszawy. Zofia miała dołączyć do mnie za kilka miesięcy, po zakończeniu stażu na Akademii Medycznej w Łodzi. Pan Kamiński przyrzekł załatwić jej paszport, którego to przyrzeczenia dotrzymał. Podobno tej samej nocy, tuż po moim wyjeździe, rozdzwoniły się telefony do mojej rodziny, Zofii i znajomych. Ci, którzy dzwonili, chcieli koniecznie ze mną rozmawiać, ale mnie już nie było, gdyż właśnie przekroczyłem polską granicę. O co im chodziło? Tego mogłem się jedynie domyślać.

Rok 1966 — Janka trzeci i ostatni wyjazd do Szwecji

Po powrocie z Węgier do Polski zaczęły mnie ponownie mierzić realia życia w PRL-u i postanowiłem wykorzystać zaproszenie od mego ostatniego pracodawcy z Instytutu Farmakologii uniwersytetu w Uppsali, gdzie ostatnio budowałem elektronikę do badań neurologicznych. W otrzymaniu paszportu na trzeci wyjazd do Szwecji pomógł mi znów pan Kamiński, sekretarz marszałka Sejmu, Wycecha. Wyglądało na to, że szybkie wydanie paszportu „jakoś” uszło uwadze Urzędu Bezpieczeństwa. W roku 1966 znalazłem się po raz trzeci w Uppsali i powróciłem do pracy w Instytucie Farmakologii, do grupy naukowców zajmujących się neurologią. Niestety, po jakimś czasie mój szwedzki przełożony, doktor Jan Ekstedt, i jego kolega, doktor Erik Stalberg, przestali dostawać rządowe subsydia (granty) na badania i stałem się niepotrzebny. Na szczęście uniwersytet na Alasce o mnie nie zapomniał i przysłało mi propozycję objęcia stano-

wiska assistant professor, odpowiadającego w polskiej hierarchii uniwersyteckiej adiunktowi z sugestią, abym starał się od razu o amerykańską wizę imigracyjną.

Do emigracji na kontynent amerykański wcale mi nie było spieszno, tym bardziej że kiedy zwróciłem się do Konsulatu Polskiego w Sztokholmie o rozszerzenie ważności mego paszportu na Stany Zjednoczone (mój paszport upoważniał jedynie do podróży po Europie), spotkałem się z odmową. Natomiast „w zastępstwie” zaoferowano mi kartkę papieru, tak zwany „paszport blankietowy”, który upoważniał mnie do natychmiastowego powrotu do Polski. Na moje pytanie o powody takiej decyzji, odpowiedziano mi, że moja petycja była zbyt krótka i dlatego dla władz krajowych obraźliwa. To mnie ostatecznie tak zdenerwowało, że udałem się do policji szwedzkiej, prosząc o prawo stałego pobytu w Szwecji. Moją prośbę szybko zatwierdzono i dostałem szwedzki dokument podróży dla cudzoziemców, w Ameryce odpowiadający „zielonej karcie” wydawanej stałym rezydentom.

Odmowna decyzja polskiego konsulatu w sprawie paszportowej przyczyniła się zatem do psychicznego związania mojej przyszłości z emigracją. Przestałem być targany sprzecznościami: zostać na obczyźnie, czy powrócić do PRL-u. Nagle poczułem się człowiekiem wolnym, mimo niepewnej sytuacji materialnej. Mogłem mówić, co mi przyszło do głowy, bez obawy, że ktoś doniesie na mnie do władz komunistycznych. Muszę przyznać, że to był największy podarunek, jaki zrobiły mi na odchodne władze mojej polskiej ludowej ojczyzny.

Janek w krzywym zwierciadle Urzędu Bezpieczeństwa

Do dnia piątego kwietnia 2010 roku nie wiedziałem, że przez kilka lat — w latach sześćdziesiątych — byłem... angielskim szpiegiem. Zrozumiałem stopień mego zaangażowania w szpiegowską, krecią

robotę przeciw ludowej ojczyźnie dopiero wtedy, kiedy przeczytałem raporty oficerów Urzędu Bezpieczeństwa o mojej szpiegowskiej działalności, otrzymane z polskiego Instytutu Pamięci Narodowej. Owszem, w dzieciństwie, chciałem być szpiegiem, jednak nie jakimś tam chłopcem na posyłki w stylu Jamesa Bonda, ale szefem całej organizacji. Najlepiej CIA! Niestety, żaden z prezydentów USA nie prosił mnie o przyjęcie tego urzędu w czasach, kiedy byłem stosunkowo młody i sprawny, bym bronił Stany Zjednoczone przed knowaniem KGB. Ten brak konsultacji ze mną skutkowało tym, że Ameryka uwikłała się w wojnę najpierw w Wietnamie, a dzisiaj w kolejne dwie, z góry przegrane wojny w Iraku i Afganistanie. No cóż, ich strata! Amerykanów, rzecz jasna. Może kiedyś rząd amerykański zrozumie swój błąd.

Moja działalność jako agenta brytyjskiego wywiadu była tak tajna, że ja sam o niej nie wiedziałem. To już nie jest zwykła konspiracja, to jest szczyt konspiracji! Byłem widocznie pionkiem na szachownicy globalnych rozgrywek i dla utajnienia całej operacji nie powiadomiono mnie o celach i zadaniach mej działalności. Obawiano się widocznie, że gdybym poddany został torturom, to wszystko wygadam, z czym trudno mi się nie zgodzić. Mam niski poziom odczucia bólu — nie wytrzymałbym zatem żadnych cierpień, nawet podtapiania na desce, co jest specjalnością naszych, amerykańskich tajnych agencji.

Na dowód tego, że moje opowiadanie nie jest fantazją człowieka chorego, postaram się przytoczyć kilka raportów dotyczących mej „szpiegowskiej działalności”. Z poniższego dokumentu MSW wynika, że ówczesnym moim kryptonimem był „Czek”. Gdybym wiedział o mojej tajnej misji w Polsce, to chyba dzisiaj przenigdy nie ułożyłbym takiego adresu mailowego, który zawierałby w sobie ten kryptonim, a który brzmi: „JanCzek”. Pewnie dla niektórych jest to dziwny i zarazem podejrzany zbieg okoliczności, wymagający dalszego rozpracowania, tym razem przez naszą, demokratyczną, Agencję Domowego Bezpieczeństwa (Homeland Security Agency). Życzę im powodzenia!

Proszę zwrócić uwagę na zapis gramatyczny, fleksyjny i stylistyczny dokumentów (staralem się zbytnio nie ingerować w ten specyficzny język), na zastosowanie w nich nowomowy, tak charakterystycznej dla okresu PRL-u, a służb Urzędu Bezpieczeństwa w szczególności.

" ZATWIERTZAM "
Z-OA NACZELNIKA WYDZIAŁU II-go Wrocław, dnia 15 grudnia 1961 r.
/ Wł. J A N C Z Y K / Kpt. T A J N E
Egz, pojedynczy 1

DO
Z-CY NACZELNIKA WYDZIAŁU II-go
SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA KWMO
w m i e j s c u

W N I O S E N I A

o założenie sprawy operacyjnego s p r a w d z e n i a

Ja St.oficer operacyjny Wydziału II-go por.KROCHMAL-
CZYK Jan proszę o zezwolenie na założenie sprawy operacyjnego
sprawdzenia na:

mgr.inż.CZEKAJEWSKI Jan s.Franciszka
i Honoraty zd.BORKIEWICZ,urudz.16.
grudnia 1934 r.w m.Częstochowa,zawód mł
inż.Radiowłec.
Zatrudniony jako st.konstruktor Zakład
Urządzeń Radiofonicznych Politechniki
we Wrocławiu,Zameldowany Wrocław ul.
Podwale 54 m.10 tel.335-02,aktualnie
zamieszkały Wrocław ul.Krakowska,Nr.98
m.10.

Wydział „C” R.W.M.O. we Wrocławiu
ZAREJESTROWANO
W EWIDENCJI SPRAW
pod Nr. 734
Data 15. 09. 61 podpis

Z posiadanych informacji wynika, że mgr.CZEKAJEWSKI
Jan wywodzi się z rodziny urzędniczej.Studia ukończył na Wydz.
Łączności Politechniki we Wrocławiu w roku 1958.Podczas studiów
z ramienia Rady Okręgowej ZSP był delegowany do Anglii na
Międzynarodowy Obóz Pracy.Po ukończeniu studiów został
asystentem prof.BINCERA w Zakładzie Urządzeń Radiofonicznych
Politechniki we Wrocławiu mieszczącym się przy ul.Bolesława
Prusa Nr.52.Zakład ten jest jednym z najpoważniejszych
komórek Politechniki.Równocześnie mgr CZEKAJEWSKI Jan pracował

TAJNE

Wrocław, dnia 27 marca 1961 r.

Notatka Informacyjna:

W związku z przekazaniem przez kapt. „Czesława” informacji wskazujących na to, że ob. Czekajewski Jan odmówił powrotu do kraju z wyjazdu służbowego do Finlandii i obecnie przebywa w Szwecji, w dniu dzisiejszym przeprowadziłem ustalenie, w wyniku czego stwierdziłem, że informacja ta polega na prawdzie. Czekajewski Jan faktycznie odmówił powrotu do kraju i przebywa w Sztokholmie. Z żoną koresponduje, lecz nie podaje miejsca zamieszkania. Żona wysyła listy na adres zakładu pracy, gdzie Czekajewski ma pracować.

W wyniku wywiadu ustaliłem, że ob. C. E. (żona — *przyp. autora*) w chwili obecnej ma kochanka, który u niej przebywa i który w otoczeniu uchodzi za kuzyna. Jest nim: ob. B. Z., s. Stanisława i Jadwigi, z domu Piniło, ur. 1926 r. w woj. tarnopolskim, zamieszkały — Wrocław, ul. Żelazna. Ob. B. Z. pracuje na uniwersytecie oraz prowadzi Klub Motorowy przy Komitecie Wojewódzkim ZMS (*Związek Młodzieży Socjalistycznej — przyp. autora*). Jest on b. pracownikiem Służby Bezpieczeństwa i pracował na terenie woj. katowickiego.

Podpis:
St. Oficer Operacyjny Wydz. II,
Jan Krochmalczyk, ppor.

Bezrobotny Janek zakłada firmę „Uppsala Instruments”

W lutym 1967 roku drugi raz w życiu stałem się bezrobotny. Miałem już jednak pewne, acz niewielkie oszczędności. Zezwolono mi przychodzić do Instytutu Farmakologii i Instytutu Fizyki i „majstrować”. Ale bez wynagrodzenia. Raczej z powodu zdrowia psychicznego niż ekonomii postanowiłem w Uppsali założyć własną firmę produkującą moje wynalazki, coś na wzór zakładu pomocniczego, w jakim pracowałem na Politechnice Wrocławskiej przed wyjazdem do Szwecji. Był to akt desperacji, biorąc pod uwagę, że nie znałem języka szwedzkiego poza bardzo podstawowymi zwrotami koniecznymi przy zakupach w sklepie. Na uniwersytecie, w instytutach naukowych i seminariach posługiwaliśmy się językiem angielskim.

Kiedy jednak udałem się do urzędu powiatowego (po szwedzku „kommun”) w celu rejestracji firmy, powiedziano mi, że jako cudzoziemiec bez szwedzkiego obywatelstwa nie mam prawa być szefem firmy, jeśli nie będę miał szwedzkiego wspólnika. Ponieważ moja firma nie miała zamówień, a sam prawie głodowałem, więc wspólnik był mi potrzebny jak piąte koło

u wozu. Nie mając wszakże wyboru, postanowiłem prowadzić moją firmę „w podziemiu”. Ponieważ zajmowałem mieszkanie studenckie, nie mogłem pokoju w domu studenckim podawać jako adresu firmy. Nie brzmiałoby to wystarczająco poważnie. Od kolegi Turka, Teofila Madakbasa, który wrócił do Turcji, przejąłem skrzynkę pocztową z numerem 12007. Gdyby nie pierwsze dwie cyfry numer brzmiałby identycznie jak numer angielskiego superagenta, Jamesa Bonda. Moją „podziemną” firmę nazwałem „Uppsala Instruments”, na wzór znanych mi wielkich firm elektronicznych, jak „Texas Instruments”, „Princeton Instruments”, etc. W mojej nowo założonej firmie postanowiłem produkować mierniki aktywności zwierząt laboratoryjnych i „Cardiac Output Computer” (komputer do pomiaru wydajności serca), opracowane przeze mnie uprzednio na uniwersytecie.



Pierwszy „Cardiac Output Computer” zbudowany w „Uppsala Instruments” na zlecenie Karolinska Institutet w Sztokholmie

Pierwsza handlowa broszura

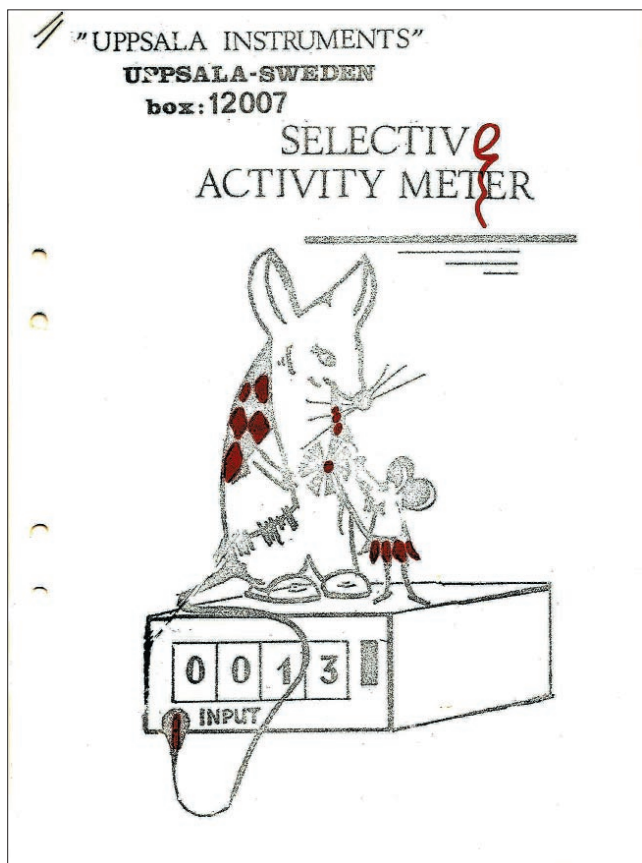
W suterenie Instytutu Fizyki, do którego ciągle miałem klucz, znajdował się powielacz przeznaczony do kopiowania studenckich skryptów. Na tym właśnie sprzęcie, po kryjomu, w nocy, odbiłem trzysta broszur z opisem przyrządu do pomiaru aktywności zwierząt laboratoryjnych. Przyrząd ten nazwałem „Selective Animal Activity Meter”. Określenie „selective” wynikało z ciekawej funkcji mego wynalazku. Zezwalał on bowiem na selektywny pomiar ruchliwości jednego zwierzęcia w grupie innych. Zasada pomiaru polegała na podskórnym wszczępieniu pętelki z platynowego drucika. Zwierzęta z wszczępioną pętelką wywoływały większy sygnał elektryczny w czujnikach umieszczonych pod podłogą klatki niż zwierzęta, którym czegoś takiego nie wszczępiono. Na tej podstawie mój przyrząd różnicował aktywność dwóch grup zwierząt: tych oznakowanych pętelką i tych bez pętelki.

Kiedy jednak pokazałem pierwszą broszurę memu koledze z Instytutu, Amerykaninowi, Svenowi Johnsonowi, ten od razu zauważył błąd ortograficzny w tytule.

— Jan, zapomniałeś dodać literę „e” na końcu słowa „selective” — powiedział.

Był to błąd wynikający z mej językowej ignorancji. Ponieważ ostatnia litera „e” w słowie „selective” jest niema, więc nie uważałem za konieczne wstawić ją tam. Należało to jednak jakoś poprawić. Na druk nowych broszur nie było mnie stać, więc w desperacji dopisałem ręcznie czerwonym długopisem, we wszystkich trzystu egzemplarzach, ostatnią literę „e”, kończąc ją długim, wijącym się w dół ogonkiem, który miał upodobnić ją do myszki. W mej firmie „Columbus Instruments” do dnia dzisiejszego wisi na ścianie pierwsza uppsalska kopia tej prymitywnej ulotki reklamowej (trzy kartki spięte spinaczem, z moim rysunkiem szczura stojącego na cyfrowym liczniku) i ręcznymi

Wszystkie trzysta broszur wysłałem pocztą do europejskich firm farmaceutycznych, których adresy były podane w popular-



Pierwsza broszura reklamowa firmy „Uppsala Instruments”

nym podręczniku medycznym „Merck Mnual”. Ku memu zdumieniu i radości po jakimś czasie do skrzynki pocztowej Nr 12007 zaczęły nadchodzić zamówienia z różnych europejskich firm. Interes ruszył! Do budowy przyrządów wynajęłam szwedzkich studentów z Instytutu Fizyki, którzy produkowali je w instytucie po godzinach, jako „fuchę”. Z braku własnego warsztatu zastosowałam chałupniczą metodę produkcji. Wykonane przyrządy

tylko na rok (1968) i umożliwiał mi po tym czasie jego unieważnienie, co też uczyniłem. Kiedy stało się dla mnie jasne, że na dochody z firmy „Farad AB” nie mogę liczyć, podjąłem — zupełnie prawnie i legalnie — produkcję tych samych przyrządów w USA przez własną firmę, która pod niezmienną nazwą „Columbus Instruments” działa do dziś.

Janek otrzymuje doktorat

Przez cały czas pracy w Instytucie Fizyki, to znaczy od roku 1960, a potem pracując w Instytucie Farmakologii, moje oficjalne stanowisko było określane jako „asystent badawczy” (research assistant), a stopień naukowy pozostał mi taki, z jakim opuściłem Politechnikę Wrocławską, czyli magister inżynier.



Legitymacja studencka uniwersytetu w Uppsali

Byłem co prawda zarejestrowany na uczelni w Uppsali jako student ubiegający się o doktorat, ale nie przestrzegałem wymagań potrzebnych do jego uzyskania. Zbyt byłem zajęty wynalazczością i budową konkretnych przyrządów, aby zwracać uwagę na naukowe stopnie i tytuły. Kiedy jednak zbliżył się termin mego wyjazdu do USA, pomyślałem sobie, że tytuł doktora może mi się przydać w pracy na amerykańskim uniwersytecie. Zadzwoiłem do mego promotora, profesora Per Arno Tove, informując go, że w najbliższym czasie wyjeżdżam do USA na Alaskę i jeśli chce być dumny ze swego studenta, który pod jego kierunkiem otrzymał doktorat, to najwyższy czas, aby taki stopień był mi nadany. Profesor Tove nie był zadowolony z mego sposobu przedstawienia sprawy. Przyznał jednak, że jestem dużo lepszy od wielu innych aplikantów i ostatecznie zdecydował, że taki tytuł — na podstawie szeregu mych wynalazków i wspólnych z nim publikacji z dziedziny przyrządów naukowych, ocenionych na celująco — otrzymam. Sposób, w jaki przyznano mi stopień doktora był w swej procedurze rzeczywiście wyjątkowy, jako że nie przeszedłem przez żadne formalne studia doktoranckie, ale i równocześnie sprawiedliwy, bo w końcu nie liczyła się metoda, a osiągnięcia. Profesor Tove nie musiał się ani za życia, ani po śmierci za swoją decyzję o nadaniu mi doktoratu w tak specyficznych warunkach wstydić!

Janek i Zofia żegnają Szwecję i witają Amerykę

Po zapakowaniu skromnych maneli, trzeciego marca 1968 roku wylecieliśmy z Zofią samolotem Skandynawskich Linii Lotniczych „SAS” ze Sztokholmu do Anchorage na Alasce i dalej, małym samolocikiem do Fairbanks, gdzie mieścił się instytut, w którym miałem pracować. Przypominam sobie, że na wieść o mej emigracji do USA, mój znajomy, Gustav Levy Huneberg, dzisiaj emerytowany lekarz, przyjechał na lotnisko pożegnać nas i wręczył mi „cenny” prezent, małą, czerwoną książeczkę

z myślami Mao-Tse-Tunga. W okresie wojny w Wietnamie z taką książeczką bałem się podróżować do USA, więc po przejściu kontroli paszportowej wyrzuciłem ją do kosza na śmieci.

Gustav był niepoprawnym komunistą. Jego rodzina, bogatych Żydów niemieckich, uciekła z Hamburga przed hitlerowcami, w ostatnich dniach przed wybuchem wojny, kiedy jeszcze mogli to zrobić. Wyjechali do Norwegii, nie wiedząc, że wkrótce siepacze hitlerowcy i tam ich mogą osiągnąć. Kiedy Niemcy zajęli Norwegię, rodzina Levy Huneberg'a uciekła przez góry do sąsiedniej Szwecji. Gustav w czasie mego pobytu w Uppsali studiował medycynę. Poznałem się z nim stołówce szpitala akademickiego, gdzie można było kupić tanie i... niesmaczne obiady. Gustav w tym czasie hołdował ideom marksistowskim i należał do szwedzkiej organizacji o marksistowskich i maoistowskich inklinacjach „Clarte”. Zaprosił mnie kiedyś na zebranie tej organizacji, na którym ambasador Wietnamu Północnego miał odczyt na temat amerykańskiego imperializmu i cudownego życia w jego ojczystym kraju. W owym czasie zaczęła się już nagonka antysemicka na Żydów w ZSSR, ale Gustav nie przejmował się tym, jako że widział przyszłość komunizmu w Niemczech Wschodnich, w DDR, gdzie marksizm działał wzorcowo, nie tak jak w zdeorganizowanym PRL-u. Na długie lata Mao-Tse-Tung był ideałem dla Gustava i szeregu szwedzkich idealistów.

Kiedy po latach powtórnie przyjechałem do Szwecji, o mordczych działaniach przewodniczącego Mao było wiadomo już dużo więcej. Wtedy sympatie Gustava przemieściły się w kierunku Nikaragui i Kuby. Od tamtego czasu minęło już czterdzieści lat. Z moim szwedzkim znajomym nadal wymieniamy od czasu do czasu korespondencję internetową. Na tematy ideologiczne już dzisiaj nie rozmawiamy.

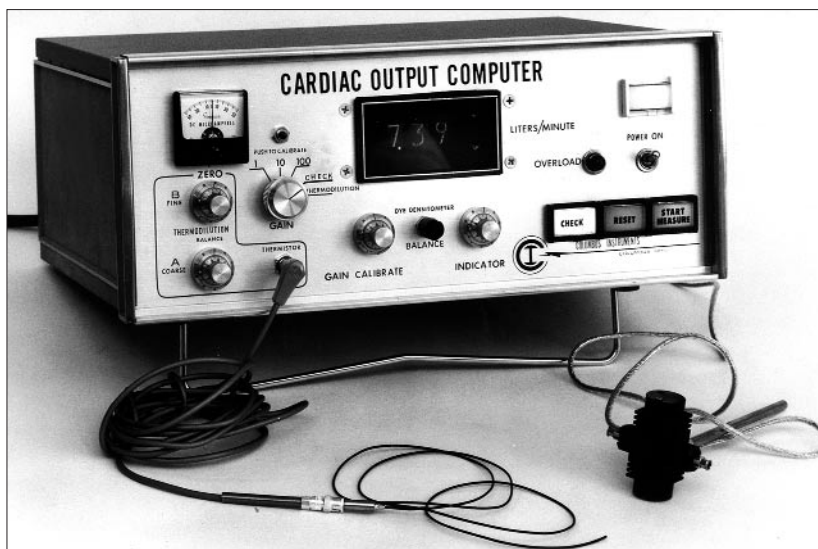
Początek początków firmy „Columbus Instruments”

Za pierwsze zarobione w Columbus pieniądze wydrukowałem broszurę reklamową w ilości dwóch tysięcy egzemplarzy i rozesłałem ją do uniwersytetów i szpitali w USA. Firmę nazwałem „Columbus Instruments”. Zdjęcia przyrządów do tej broszury były zrobione jeszcze w Szwecji. Pieniądzy ani możliwości wykonania jakichkolwiek przyrządów lub prototypów w Columbus jeszcze nie miałem. Czekałem więc na zamówienia, ale one jakoś nie nadchodziły. W broszurze zamieściłem zdjęcia i opisy trzech przyrządów: „Selective Animal Activity Meter”- przyrząd do pomiaru ruchliwości zwierząt laboratoryjnych, „Cardiac Output Computer”- przyrząd do pomiaru przepływu krwi przez serce i „Perspiration Meter”- przyrząd opracowany przez mego przyjaciela, profesora Henryka Ryżko



Miernik pocenia („Perspiration Meter”) konstrukcji doktora Henryka Ryżko

do pomiaru pocenia się skóry. Muszę dodać, że sprzedałem późnej setki przyrządów do pomiaru aktywności zwierząt i komputerów do pomiaru przepływu krwi przez serce. Trzecie urządzenie, do pomiaru pocenia się, niestety, nigdy nie stało się sukcesem. Sprzedałem jedynie... dwa takie przyrządy. Jeden jeszcze w Szwecji, na zamówienie Szpitala Akademickiego, a drugi później, poprzez „Columbus Instruments” w USA.



„Cardiac Output Computer” produkcji „Columbus Instruments”

Wkrótce zacząłem sobie zdawać sprawę, że skrzynka pocztowa umieszczona na broszurze jako adres firmy, nie wzbudza zaufania potencjalnych klientów, którymi były poważne instytucje, firmy farmaceutyczne, szpitale i uniwersytety. Pomyślałem, że firma moja musi mieć przekonujący adres, telefon czynny przynajmniej osiem godzin dziennie i telefonistkę odbierającą zapytania. Pracując osiem godzin dziennie w firmie „Brun Sensor Systems” nie mogłem sprostać tym podstawowym warunkom koniecznym dla sukcesu. Na rozwiązanie tych trudności na szczęście wpadłem szybciej niż się spodziewałem.

CO. 10



3651318

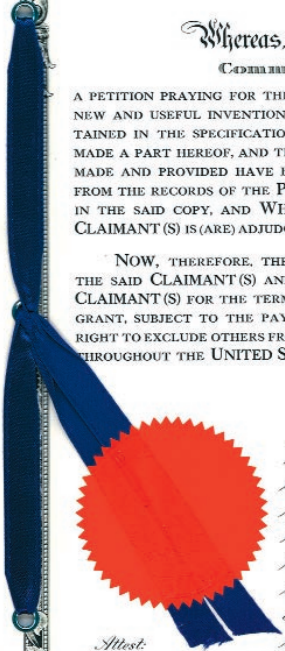
THE UNITED STATES OF AMERICA

TO ALL TO WHOM THESE PRESENTS SHALL COME:

Whereas, THERE HAS BEEN PRESENTED TO THE
Commissioner of Patents

A PETITION PRAYING FOR THE GRANT OF LETTERS PATENT FOR AN ALLEGED NEW AND USEFUL INVENTION THE TITLE AND DESCRIPTION OF WHICH ARE CONTAINED IN THE SPECIFICATION OF WHICH A COPY IS HEREUNTO ANNEXED AND MADE A PART HEREOF, AND THE VARIOUS REQUIREMENTS OF LAW IN SUCH CASES MADE AND PROVIDED HAVE BEEN COMPLIED WITH, AND THE TITLE THERETO IS, FROM THE RECORDS OF THE PATENT OFFICE IN THE CLAIMANT(S) INDICATED IN THE SAID COPY, AND WHEREAS, UPON DUE EXAMINATION MADE, THE SAID CLAIMANT(S) IS (ARE) ADJUDGED TO BE ENTITLED TO A PATENT UNDER THE LAW.

NOW, THEREFORE, THESE **Letters Patent** ARE TO GRANT UNTO THE SAID CLAIMANT(S) AND THE SUCCESSORS, HEIRS OR ASSIGNS OF THE SAID CLAIMANT(S) FOR THE TERM OF SEVENTEEN YEARS FROM THE DATE OF THIS GRANT, SUBJECT TO THE PAYMENT OF ISSUE FEES AS PROVIDED BY LAW, THE RIGHT TO EXCLUDE OTHERS FROM MAKING, USING OR SELLING THE SAID INVENTION THROUGHOUT THE UNITED STATES.



In testimony whereof, I have herunto set my hand, and caused the seal of the Patent Office to be affixed, at the City of Washington this twenty-first day of March, in the year of our Lord, one thousand nine hundred and seventy-two, and of the Independence of the United States of America the one hundred and ninety-sixth.

Attest:

Mc Coy M. Gibson, Jr.
Attesting Officer.

Robert Patterson
Commissioner of Patents.

FORM PG 277a
(10-65)

Mój patent na "Cardiac Output Computer"

Rok 1985 — Janek jako sowiecki „szpion”

Na samym początku sprawa wyglądała bardziej na komiczną niż na tragiczną, jaką się szybko stała. Specjalny organ amerykańskiego Urzędu Celnego, stworzony do walki z przemytem wojskowej technologii do Sowietów — nazwany po biblijnemu Exodus — ubzdurał sobie, że jestem sowieckim agentem sprzedającym stronie radzieckiej ważne dla budowy bomb atomowych superkomputery. Moje polskie nazwisko oraz to, że jestem właścicielem małej firmy elektronicznej, handlującej sprzętem medycznym z ZSSR, pasowało jak ulał do „kreta”, którego mógłby wysłać radziecki wywiad, aby wykraść amerykańską technologię na potrzeby komunistów. Według agentów z Exodus również świetnie nadawałem się na ofiarę, która nie będzie w stanie bronić się i której można będzie sprawić „pokazowy proces”, czyli zdrowo, bez wielkiego ryzyka i kosztu, dokopać.

Rzecz zaczęła się w czerwcu 1986 roku od wysyłki urządzenia, które nazwaliśmy „Oxymax” na wystawę medyczną w Moskwie. Służyło ono do pomiaru metabolizmu myszy lub szczura laboratoryjnego. Przyrząd ten mierzył konsumpcję tlenu i wydychanie dwutlenku węgla. Do drukowania wyników pomiaru „Oxymax” używał klonu komputera IBM-PC produkowanego na Tajwanie o wartości około czterystu dolarów. Chińczycy na Tajwanie, chcąc nadać splendoru tej raczej marnej reprodukcji

IBM-PC, nakleili na tylnym panelu komputera naklejkę z nazwą „Super Computer”. Kiedy celnicy amerykańscy na lotnisku w Nowym Jorku sprawdzili paczki i przeczytali naklejkę „Super Computer”, wpadli w amok i natychmiast wysłali specjalny oddział organizacji Exodus do mojej firmy w Columbus, w celu konfiskaty wszystkich superkomputerów, zaarrestowania sowieckiego szpiega, czyli mnie, i wreszcie w celu dania nauzki innym, potencjalnym komputerowym przestępcom. Ich działanie miało udowodnić, że ORMO — przepraszam — Exodus czuwa, a zatem Ameryka może spać spokojnie! Akcja oddziału Exodus była skoordynowana z posunięciami miejscowej telewizji, której kilku reporterów z wielkimi kamerami telewizyjnymi o godzinie 16.00 wpadło razem z celnikami do mego przedsiębiorstwa. Następnego dnia ukazał się w miejscowych i centralnych dziennikach telewizyjnych reportaże o złapaniu sowieckiego szpiega i przerwaniu za sprawą agentów Exodus „rurociągu” przekazu zabronionej technologii z Columbus (przez Helsinki) do Moskwy. Tyłne drzwi do magazynu mojej firmy zostały przez tajnych agentów zablokowane samochodami, aby moi pracownicy nie wynieśli dowodów winy, czyli superkomputerów w czasie, kiedy mnie będą zakuwać w kajdanki.

W czasie napadu agentów organizacji Exodus na „Columbus Instruments” obecny był mój kolega z czasów studiów



Insygnia amerykańskiej agencji kontrwywiadu naukowego Exodus. Napis brzmi: „Technologiczni Rozbijacze”. Po moim ośmieszeniu tego plakatu, Exodus zmienił napis na „Obrońcy Technologii”. Ten facet w kapeluszu to jakoby ja

na Politechnice Wrocławskiej, Karol Pelc, dzisiaj emerytowany profesor Michigan Technological University. Była także moja siostra, Anna z mężem, Piotrem, która właśnie przybyła do mnie z Częstochowy. Rewizja w firmie trwała od godziny 16.00 do 23.00, w czasie której agenci szukali dowodów mego szpiegowskiego działania. Goście z Polski, po mym powrocie do domu i sprawdzeniu mego... uzębienia, stwierdzili zgodnie, że mimo wszystko w Ameryce da się żyć, bo zęby mam co prawda spróchniałe, ale niewybite.

O „dowody” mojej winy nie było trudno, jako że dwa inne tajwańskie superkomputery stały na półce, a ja sam się „przyznałem”, że z Sowietami handluję aparaturą medyczną od lat szesnastu. Najbardziej ubawiła mnie sytuacja, kiedy to, zmęczony, o godzinie 22.00 wstałem z krzesła i udałem się do kuchni, aby napić się kawy; agenci także poderwali się i popędzili za mną, bacznie obserwując, co piję i połykam. Wtedy sobie uświadomiłem, że mieli za zadanie uchronić mnie przed samobójstwem, na przykład przed połknięciem kapsułki z cyjankiem potasu. Takie zachowanie szpiega zacierającego poszlaki poprzez spowodowanie własnej śmierci, na pewno widzieli w amerykańskich filmach. Koło północy agenci załadowali na ciężarówkę wszystkie dokumenty wysyłkowe z minionych dziesięciu lat i odjechali, zostawiając mnie wszakże na wolności. Ku memu zdumieniu nie zarekwirowali jednak naszych tajwańskich superkomputerów. Widocznie nie zauważyli umieszczonej na tylnych panelach naklejek informujących, że były to owe superkomputery.

Przygody „kowboja” (Chucka) w Moskwie

W czasie kiedy agenci grupy Exodus przeprowadzali rewizję w „Columbus Instruments”, w Moskwie Sowietci aresztowali naszego inżyniera, Chucka Mc Kinnissa, z powodu przybycia na lotnisko Siermietiewo bez ważnego paszportu. Chuck przyjechał do Moskwy w celu demonstracji naszych przyrządów,

które w międzyczasie utknęły, zarekwirowane na lotnisku Kennedy`ego w Nowym Jorku, o czym, niestety, nie wiedział. Chłopak, znudzony czekaniem na zwrot swego amerykańskiego paszportu wysłanego do sowieckiej ambasady z prośbą o wizę, zdecydował się na dość brawurowe rozwiązanie. Poleciał do Moskwy zaopatrzony tylko w fotokopię swego paszportu! Chuck był komandosem amerykańskiej armii i bił się z Chińczykami na rzece Jaulu (Yalu) w Korei Północnej, więc pewnie sądził, że radzieckie władze nie były dla niego przeciwnikiem wartym większej uwagi. Kiedy go aresztowano w stolicy ZSRR, powiadomiono moskiewską telewizję, która ze swej strony podała, że na lotnisko przybył amerykański kowboj, na dodatek z... fotokopią paszportu! Co do tego, że Chuck był kowbojem, nie było wątpliwości, bo na nogach miał kowbojskie buty i opasywał

go pas z olbrzymią, mosięzną sprzączką z gwiazdą Teksasu. W Moskwie, gdzie szacunek do dokumentu (bumagi) był wszystkim urzędnikom dogłębnie wpojony, zachowanie Chucka na pewno wyglądało na prowokację.

Na szczęście organizatorem konferencji medycznej w Moskwie był radziecki kosmonauta będący w bliskich kontaktach z Kremlem. Wpuszczono więc Chucka do hotelu, skąd dość



Chuck Mc Kinniss już jako policjant

szybko sprowadziliśmy go z powrotem do Columbus, kiedy tylko okazało się, że nie ma nadziei na dostawę naszych przyrządów do Moskwy przed końcem konferencji. Jak Chuck zdołał bez paszportu przebrnąć granicę amerykańską, już nie pamiętam. Widocznie nie wyglądał na Polaka, który uparł się, aby w Ameryce usuwać ze starych budynków azbest. (W tym czasie podobni jemu polscy desperaci właśnie w tym celu zjawiali się na amerykańskiej ziemi). Kilka lat potem Chuck zmienił pracę i został policjantem. Od czasu do czasu odwiedza nas w „Columbus Instruments”.

Janek walczy gumową pieczętką

Na szczęście dla mnie w odległych latach osiemdziesiątych, by umieścić podejrzanego w więzieniu, trzeba było mieć przekonujące dowody winy. Być może dlatego podejrzliwy sędzia, który podpisał nakaz rewizji, nie godził się na mój areszt ani na wybicie mi przednich zębów. Widocznie uzbrojony w bomby atomowe Związek Radziecki nie był wtedy taki groźny, jak dzisiejsi terroryści. Myślę, że dzisiaj tak łatwo bym się nie wywinął, a z naklejką terrorysty mógłbym spędzić dożywocie w jakiejś klatce na Kubie, zmuszony do studiowania Koranu. Agenci grupy Exodus byli rozczarowani, że pozostawiono mnie na wolności, niemniej tak szybko nie zrezygnowali. Oddali bowiem moją sprawę federalnemu prokuratorowi, który rozpoczął dwuletnie śledztwo, odgrażając się w telewizji, że za zagrożenie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, on zrobi ze mną porządek i będę gnił w więzieniu przez lat pięć.

Śledztwo trwało, ale nikt mnie na osobiste zeznania nie wzywał, chociaż ich do tego uporczywie zachęcałem. Przesłuchiwano natomiast moją sekretarkę, Marcelę Long, leciwą już w tym czasie matkę pięciorga amerykańskich dzieci, która podpisała nieszczęsne dokumenty wysyłkowe, dotyczące przesyłki sprzętu do Helsinek w Finlandii. Oskarżano ją i mnie, że sfalszowaliśmy owe dokumenty.

W rzeczywistości sprzęt miał być wysłany do naszego przedstawiciela w Helsinkach „Anitek Oy”, który dopiero ciężarówką miał zawieźć go do Moskwy, razem z innymi przyrządami. Prokurator nalegał na Marcy, aby zeznała, iż to ja ją zmusiłem do sfałszowania dokumentów przez zmylenie końcowego adresu, którym winna być Moskwa, a nie Helsinki. Marcy jednak nie dała się zastraszyć i powiedziała, że wypełniła dokumenty dokładnie wedle zaleceń linii lotniczych, bez żadnej mojej sugestii czy udziału.

Niemniej jednak moje przyrządy medyczne o wartości dwustu tysięcy dolarów rdzewiały przez dwa lata w magazynie celnym w Nowym Jorku. Była to duża suma w tamtych czasach, kiedy to „dolar był królem”, a moja firma karłem. Agenci z Exodus widocznie, nie mogąc mi już inaczej zaszkodzić, liczyli chociaż na moje bankructwo. Broniąc się przed zarzutem, że eksportuję do Sowietów technologię, sprowadziłem podobny, ale dużo lepszy klon komputera IBM-PC z Bułgarii, który potem kupiło ode mnie amerykańskie Ministerstwo Handlu Zagranicznego. Poleciałem nawet do Moskwy z kamerą video, aby przeprowadzić na wystawie medycznej własny wywiad i ujawnić, jakie — całkiem legalnie — komputery osobiste amerykańskie, angielskie i niemieckie firmy sprzedają Rosjanom. Nic jednak nie było w stanie przekonać prokuratorę, że jestem niewinny. Ubawił mnie list od ówczesnego ambasadora USA w Moskwie, Arthura Hartman’a, który pisał, że amerykańscy agenci także fotografowali komputery na tej wystawie, ale ich aparaty fotograficzne zostały skradzione w czasie, kiedy agenci udali się do baru... na wódkę. No cóż, niezależnie od faktów w oczach amerykańskiej prokuratury byłem winny zbrodni w myśl sowieckiej zasady: „Jest człowiek to paragraf się znajdzie”. Aby sprowokować jakąś reakcję biurokratycznego molocha, sporządziłem sobie pieczętkę z napisem: „Warning! Exporting can be dangerous to your mental health”, co po polsku oznaczało: „Uwaga! Eksport może być groźny dla twego zdrowia psychicznego”.

Pieczętką tą zacząłem stemplować wszystkie listy i koperty wysyłane do agencji rządowych, kongresmanów, telewizji i prasy,



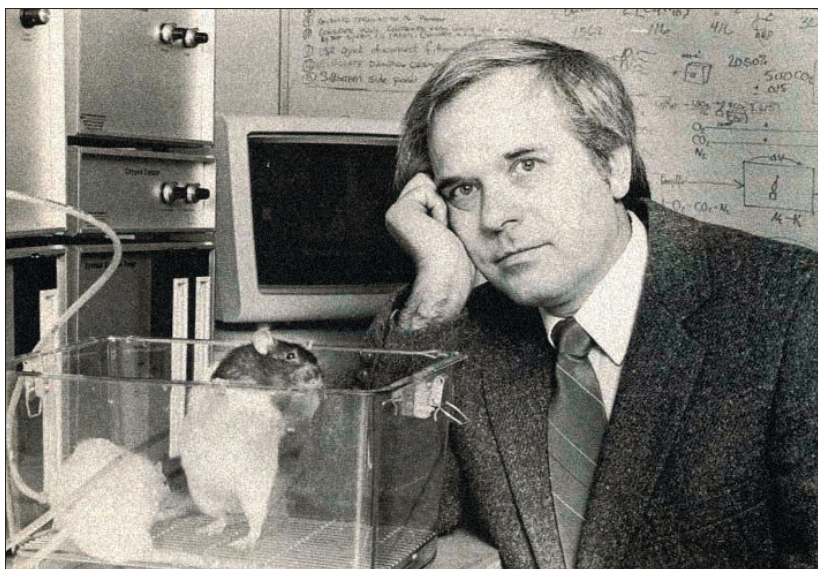
Pieczętka z napisem: „Uwaga! Eksport może być groźny dla twego zdrowia psychicznego”

czyli wszystkich tych, których prosiłem o pomoc w rozwiązaniu tej idiotycznej, a jednak mocno niebezpiecznej dla mnie sprawy. Muszę przyznać wszakże, że Ministerstwo Handlu (Department of Commerce) tak po cichu sprzyjało mi. Zaproszono mnie nawet na konferencję w Waszyngtonie, gdzie wygłosiłem odczyt o absurdalnych oskarżeniach, jakich byłem przedmiotem. Odczyt zilustrowałem taśmą video z reportażami telewizyjnymi o mojej „szpiegowskiej” działalności. Przypuszczam, że stworzona przeze mnie pieczętka uratowała mnie od bankructwa i więzienia.

Nic jednak nie zmieniło stanowiska Ministerstwa Skarbu i speców z organizacji Exodus w mojej sprawie. Prowadzący śledztwo nadal oskarżali mnie w listach do senatora Metzenbauma, który interweniował w mojej sprawie dotyczącej przemytu wysokiej technologii groźnej dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Ostatecznie, zdenerwowany, napisałem prośbę

do CIA (Centralna Agencja Wywiadowcza), aby przejęła moją „szpiegowską” sprawę, gdyż kompetencja Urzędu Celnego nie jest wystarczająca wobec wielkiego zagrożenia jakie ja, Jan Czekański, stanowią dla USA. Moje kolejne prośby kierowane do centrali CIA w Langley spełzły na niczym, a moje listy wracały z adnotacją: „Adresat nieznan”. Po dwóch latach potwierdziła się jednak stara zasada, że mysz zdolna jest ruszyć górę. Wpływowy dziennik „The Wall Street Journal” napisał artykuł o mojej tragikomedii, który przeczytali wszyscy Amerykanie mający w USA coś do powiedzenia. W ciągu następnych kilku dni zwrócono mi zarekwirowane przyrządy i umorzono dochodzenie z powodu „braku wystarczających dowodów winy”. Prokurator nie potrudził się jednak, aby zawiadomić mnie o tym listownie. Widocznie nie mógł przełknąć porażki.

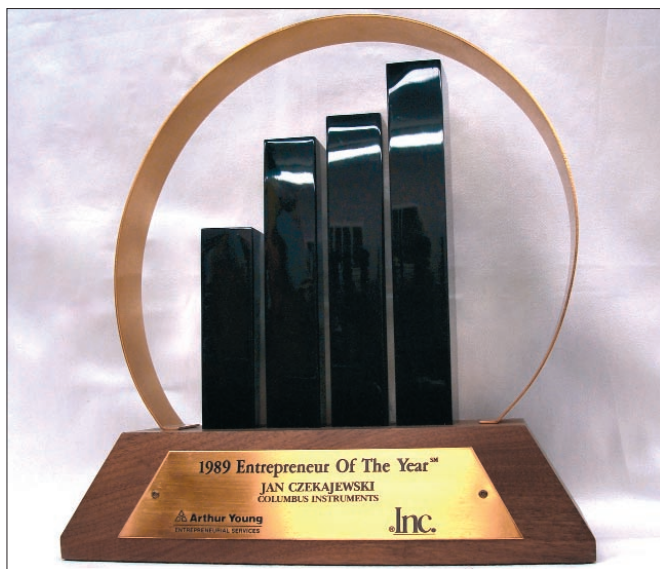
Pewne zdarzenie potwierdziło me podejrzania, co do zachowania się prokuratora. W dwadzieścia lat później, w roku 2004,



Trzech „sowieckich agentów” (dwóch już w klatce) na tle superkomputera produkcji tajwańskiej

odbierając bilet lotniczy od mego zaprzyjaźnionego agenta podróży, Boba Swaina, dowiedziałem się, że tyle co minąłem się w drzwiach z t y m właśnie federalnym prokuratorem. Wiedząc od Boba, że mam zaraz przyjść do jego biura, podobno odmówił spotkania ze mną, mamrocząc tylko: „Ten skurwysyn, Czekajewski, miał szczęście, że uniknął więzienia”. Być może zacięty prokurator liczył na awans i karierę w rządzie, a tymczasem jego porażka odniesiona w mojej sprawie zamknęła mu, niestety, tę drogę.

Dwa lata później, w roku 1989, zostałem uznany za najlepszego biznesmena w dziedzinie wysokiej technologii w stanie Ohio i zaszczycony dyplomami uznania od Senatu i Sejmu stanu Ohio. Umilałem także swym towarzystwem gubernatorowi stanu Ohio, Richardowi Celeste, podróże do Chin i Egiptu, a także brałem udział w niezliczonych bankietach w jego rezydencji, gdzie raczono nas, raczej mizernym, Chardonnay z winnic w rodzimym stanie Ohio.



Wyróżnienie dla mnie jako najlepszego biznesmena w dziedzinie wysokiej technologii



Ja z przyrządem do pomiaru konsumpcji tlenu u ludzi. Zdjęcie zrobione z okazji otrzymanego wyróżnienia

Postowie do szpiegowskiej historii

Kiedyś oglądałem amerykański film „Uczeń Diabła” (The Devil Disciple), nakręcony w roku 1959, dotyczący wojny rewolucyjnej o niepodległość Stanów Zjednoczonych, z Burtem Lancasterem w roli głównej. W filmie tym Anglicy prowadzą rebelianta na szubienicę. W ostatnim momencie przybywa galopem goniec z wiadomością, że podpisano rozejm. Obustronne umowy przewidywały, że dalsze egzekucje amerykańskich patriotów zostaną zawieszane. „Zawiedziony” angielski generał, Burgoyne, zdejmując pętlę z szyi rebelianta, mówi:

— Ponieważ nie mogę pana powiesić, zatem zapraszam szanownego pana na herbatę.

Bardzo lubię to anglosaskie poczucie humoru i cieszę się równocześnie, że w dzisiejszych czasach bezpieczniej jest mieć w Ameryce na imię „Jan” niż „Jamal” lub „Abdul”. Jamalów i Abdulów dzisiaj się na herbatkę nie zaprasza, a jeśli nawet, to tylko na tę, parzoną w obozie w Guantanamo na Kubie. Moje przykre doświadczenia z amerykańskim Urzędem Celnym i kontrwywiadem oraz późniejsze zaszczyty, jakimi mnie obdarzono, mogą być osnową podobnego filmu o czasach współczesnych.

Dalsze wynalazki

W początkowym okresie firma moja koncentrowała się na przyrządach do pomiaru aktywności zwierząt laboratoryjnych i komputerach do pomiaru przepływu krwi przez serce. Począwszy jednak od roku 1980 „Columbus Instruments” zaczął coraz bardziej polegać na przyrządach do pomiaru konsumpcji tlenu i produkcji CO₂ przez zwierzęta laboratoryjne różnej wielkości, od myszy, po krowy, a nawet konie. W poprzednim rozdziale opisałem kłopoty, jakie miałem z amerykańskim Urzędem Celnym z powodu wysłania takiego właśnie przyrządu o nazwie „Oxymax” na konferencję naukową do Moskwy. W miarę upływu czasu przyrząd ten „rozwierał się” w swych możliwościach pomiarowych zarówno co do równoległego pomiaru ilości zwierząt, jak i pomiaru dodatkowych parametrów, takich jak częstotliwość oddychania, ruchliwość, ilość skonsuowanego pokarmu i wody, częstotliwość bicia serca i temperatura ciała (metodą telemetrii radiowej). W ostatnich kilku latach, od roku 2000, tak rozbudowane zestawy (kombajny), po nazwą „Oxymax-CLAMS” sprzedaliśmy prawie wszystkim firmom farmaceutycznym na świecie. Zwrot „CLAMS” w nazwie przyrządu oznacza skrót od pierwszych liter pełnej, angielskiej nazwy „Comprehensive Laboratory Animal Measuring System”, czyli po polsku „system do pomiaru wielu parametrów fizjologicznych zwierząt laboratoryjnych”.



Kombajn „Oxymax-CLAMS” do pomiarów fizjologicznych myszy



Pomiar konsumpcji tlenu kłusującego konia

Sakrament „cywilnego małżeństwa“

Już rano, dziesiątego listopada 2009 roku, czułem, że stanie się coś niezwykłego. Nie dręczyły mnie nocne mary o zalaniu mego kraju przez afgańskich terrorystów, nogi przestały mi się pocić i przestałem także kichać z powodu alergii na jesienne pyłki. Wartość dolara spadała i w związku z tym moja inwestycja w tym dniu w złote uzębienie zwyżkowała. Było to optymistyczne zjawisko, jeśli się weźmie pod uwagę fakt sprzedania mojego uzębienia w razie egzystencjalnej potrzeby. Dzień zatem zapowiadał się wspaniale! Chyba dlatego, że wieczorem miał wstąpić do nas, będąc w drodze na Florydę, mój przyjaciel z czasów studenckich, Karol Pelc z małżonką. To jemu, w pewnej mierze,

zawdzięczam mój obecny, „cywilnie błogosławiony” stan małżeński. Dzisiaj, dla uhonorowania wizyty państwa Pelców, kupiłem w rosyjskich delikatesach litewską bryndzę i polskie korniszony marki „Babcia”.

Cofnijmy się jednak o lat dwadzieścia, do roku 1989, kiedy to Karol — ciągle z tą samą małżonką — odwiedzili mnie w Columbus w Ohio. Przekonał wówczas, za moimi plecami, moją obecną żonę, Laurę, że osoba moja stanowi wielki potencjał, także intelektualny, w który ona winna — także intymnie — szybko zainwestować. Był to chyba ostatni dzwonek na przekazywanie takich informacji, gdyż nieustępliwe wywody Laury na temat teorii rozwoju intelektualnego dzieci stawały się coraz bardziej nużące i obawiałem się, że któregoś dnia, w czasie takich dywagacji, zasną i spadną z krzesła. W uprzednich moich męsko-damskich relacjach nigdy nie dopuszczałem do takich seksualnie jałowych dłużyzn, ale w tym wyjątkowym przypadku potraktowałem sytuację naukowo, czyli... eksperymentalnie. Jakoś i bez cennych rad Karola wyczułem, że właśnie tej znajomości muszę dać szansę. Historycznie rzecz ujmując, moje poprzednie interlokutorki były zainteresowane jedynie stanem mojego konta, jaki zostanie po zapłaceniu alimentów. Tymczasem Laurę interesował rozwój intelektualny dzieci.

Wtedy też nie przypuszczałem, że kandydatka na oblubienicę, Laura, którą poznałem kilka tygodni temu na wieczorne tanecznym dla samotnych, zostanie piętnaście lat później moją, „uświęconą cywilnym sakramentem” żoną. Ówczesna interwencja Karola w mój stan cywilny i życie erotyczne wynikała chyba z moralnego zobowiązania, jakie sam sobie wobec mojej osoby narzucił, jako że to ja byłem we Wrocławiu — trzydzieści lat temu (dzisiaj już pięćdziesiąt) — świadkiem na jego pierwszym i jedynym ślubie! Kto go tam wie! A może Karol po prostu chciał mi się „zrewanżować”, czyli na mnie odegrać?

Od tamtej nocy, dwadzieścia lat temu, po wspomnianej już konspiracyjnej rozmowie Karola P. z kandydatką na moją żonę, Laura nie tylko zaczęła dzielić moje „queen size” łóżko, ale także



Moi przyjaciele. Od lewej: Romuald Oduliński i Karol Pelc w czasie jednej z wizyt w Columbus (Ohio)

zacieśniać moją przestrzeń życiową. Nagle moje szafy zapełniły się damską garderobą, a zwłaszcza butami na tak zwanych szpilkach. Nie walczyłem aktywnie z tym zjawiskiem, jako że już od wielu lat przestałem ubierać się w garnitury, krawaty i marynarki, w związku z czym potrzeby przestrzenne mojej garderoby kurczyły się. W owym czasie małżeństwo z kimkolwiek wykluczałem z powodów „zdrowotnych”. Mianowicie, miałem na nie alergię wywołaną poprzednim, dwukrotnym przedawkowaniem. Zatem małżeństwo wykluczałem. Ale nie miłość! Nie unikałem w moim życiu ciepła innych dusz, a przede wszystkim ciała.

Ta sytuacja trwałaby w nieskończoność, gdybym po dziesięciu latach nie spotkał wspomnianej Laury, z którą po zadziergnięciu intymnej znajomości, żyliśmy trzynaście lat w błogim szczęściu, czyli na przykład bez rękoczynów. Któregoś jednak poranka, a był to pierwszy dzień wiosny 2002 roku, któregoś z nas wspomniało mimochodem, jakby dla zgrywy, że może

warto by „przekwalifikować” nasze związki z kandydackich na pełnoprawne, gdyż drakońskie pięćdziesięcioprocentowe podatki spadkowe całkiem niepotrzebnie wzmogłyby cierpienia i tak już zmartwionej wdowy lub zmartwionego wdowca. Ponadto w krytycznej sytuacji, kiedy trzeba będzie wyciągnąć wtyczkę z kontaktu elektrycznego respiratora (aparatu do sztucznego oddychania), nikt z nas dwojga — jeśli nie byłibyśmy małżonkami — nie będzie do takiej decyzji uprawniony.

Ponieważ oboje rozumieliśmy powagę sytuacji, decyzja o zalegalizowaniu naszego związku zapadła jednogłośnie i bezkonfliktowo. Ubrawszy się na galowo, udaliśmy się do sądu powiatowego, aby za piętnaście dolarów kupić „licencję na ślub” i w ciągu następnej godziny zawrzeć małżeństwo przed obliczem sędziego, który takim ceremoniom przewodniczy. W okienku, gdzie sprzedawano „licencje”, nie było kolejki, więc w pięć minut sprawę mieliśmy z głowy. Gorzej było z terminem ślubu. Sekretarka sędziego sprawdziła harmonogram jego obowiązków i stwierdziła, że najbliższa wolna data wypada w sierpniu. Tak długi okres czekania nie odpowiadał mi, gdyż cały dzisiejszy wysiłek włożony w wiązanie krawata skończyłby na śmietniku historii! Nie mogłem do tego dopuścić! Widząc rozpacz na naszych obliczach, wzruszona nią, sekretarka poinformowała, że trzysta metrów na południe, wzdłuż tej samej ulicy Wysokiej (High Street) mieści się „Kaplica Ślubów”, w której udziela się tego sakramentu.

Podążyliśmy we wskazanym kierunku piechotą, obawiając się kłopotów z parkowaniem samochodu na ruchliwej ulicy. Rzeczywiście, stała tam, i do dziś stoi, „Kaplica Ślubów”. Jej usytuowanie jest dość strategiczne, otulona jest bowiem z dwóch stron biurami prawników ofiarujących szybkie i tanie... rozwody. Nieco dalej zauważyłem piekarnię sprzedającą „begels” (obwarzanki) panów Einsteina i Brosa, gdzie po dokonanej ceremonii sakramentu ślubu, oblubieńcy mogą wydać przy kontuarze, na stojąco, „przyjęcie weselne”.

Zapukaliśmy do drzwi budynku. Otworzyła nam kobieta w średnim wieku, ubrana schludnie, ale dość przeciętnie (bez



U góry: Laura i ja przed „natychmiastowym” ślubem

U dołu: Kaplica „natychmiastowych” ślubów w Columbus (Ohio)



ornatu, stuły lub togi) i zapytała uprzejmie, oczywiście w dominującym tu, w Ohio, języku angielskim:

— Co chcą?

Na co ja, zgodnie z wykwintnymi manierami, jakich nabyłem jeszcze w PRL-u, zapytałem równie uprzejmie, w tym samym języku, aczkolwiek z częstochowskim akcentem:

— A co tu dają?

— A no, śluby. Jaki sobie życzą? Kościelny, czy cywilny?

Na to ja:

— A który tańszy?

— Tańszy jest cywilny, za jedyne sto dolarów — brzmiała odpowiedź. — Za kościelny wybulicie sto pięćdziesiąt.

— A dlaczego kościelny droższy? — zapytałem.

— Cywilnych ślubów udzielam ja, natomiast ślubów kościelnych udziela mój małżonek, który ma licencję kapłańską. Licencja i jego studia teologiczne kosztują, więc i ślub jest droższy. Musimy sobie jakoś „odbić” naszą inwestycję.

Przez wrodzoną delikatność nie zapytałem, w jakim obrzędku „kościelne” śluby są udzielane i czy do kosztów ślubu jest włączona cena ewentualnej zmiany orientacji religijnej, czyli wyznania. Pani „cywilny ksiądz” zaprosiła nas do wnętrza i zaczęła wertować kartki papieru, na których miała napisane kilka formuł wypowiedzianych w czasie obrzędku. Po wybraniu właściwej dla nas kartki zapytała, czy życzymy sobie kwiaty. Plastikowy bukiet był na podorędziu za jedyne dwadzieścia dolarów. Gdybyśmy reflektowali także na okolicznościowe zdjęcie (z kwiatami), dodatkowo koszt wyniósłby piętnaście dolarów. Dowiedzieliśmy się także, że opłaty za ślub i akcesoria są przyjmowane jedynie w gotówce. Z oszczędności, z wyżej wymienionych akcesoriów zrezygnowałem i „podniosły” proces zawierania małżeństwa zaczął się. Ponieważ piszę te wspomnienia osiem lat po fakcie, to wzajemnych przyrzeczeń i postanowień, do jakich się wtedy zobowiązałem, dokładnie już nie pamiętam. Niemniej coś tam było, że pozostaniemy razem aż do śmierci... a może do legalnego rozvodu?

Jedno wydarzenie zapadło mi głęboko w pamięć, które prawie że sparaliżowało całą ślubną procedurę. Kiedy pod koniec odczytywania ceremonialnej formuły pani ksiądz wypowiedziała sakramentalne: „No, to teraz możecie sobie wymienić obrączki”, blady strach padł nam na oblicza, jako że o konieczności wzięcia ze sobą obrączek kompletnie zapomnieliśmy! Pomyślałem sobie, że cały dzisiejszy wysiłek fizyczny i trzynaście lat przełamywania oporów psychicznych, prysnął jak bańka mydlana, albo... inwestycyjna. Najbardziej martwiło mnie to, że studolarowa opłata za ślub była bezzwrotna. Zdziwiony jednak byłem, że taka szacowna instytucja jak „Kaplica Ślubów”, wydawałoby się, że wszystko mająca, nie pomyślała o obrączkach! Mogła mieć do sprzedania aluminiowe lub plastikowe obrączki do jednorazowego użycia! Pani ksiądz uspokoiła nas jednak, że nasze małżeństwo bez obrączek też będzie legalne i ważne w stanie Ohio, no, i chyba przed Panem Bogiem także. Otrzymała przepustki do nieba, po rozliczeniu się z życiem doczesnym, „urzędniczka” z kaplicy nie gwarantowała, ale wspomniała, że Szef Biura Niebiańskich Paszportów, Święty Piotr, śluby przez nią udzielane respektuje, gdyż od dłuższego czasu nie miała żadnych reklamacji w tej sprawie.

Uduchowieni, no i rzecz jasna połączeni węzłem małżeńskim, wyszliśmy z budynku. Minęliśmy się z inną parą kandydującą do ślubu. Była to para kolorowo mieszana, w towarzystwie dwójki dzieci, z który jedno, dwuletnie, miało problem z przekroczeniem progu. Jestem pewien, że mieli złote, ślubne obrączki na tę podniosłą uroczystość. Życzyliśmy im wszystkiego najlepszego.

Wieczorem, już jako nowożeńcy, zaprosiliśmy na skromne wesele dwoje moich dorosłych dzieci, Ryszarda i Tinę, z ich współmałżonkami. Na weselu jedliśmy zalewajkę, jaką ugotowałem na kwasie kiszonym wedle przepisu mojej babci, Marii Borkiewicz, chłopki rodem ze wsi Janów koło Częstochowy. Przypuszczam, że babcia na pewno nasz związek pobłogosławiłaby, aczkolwiek w swym życiu, w myśl katolickiej zasady, wychodziła za mąż nie za rozwodników, ale za wdowców. Nasze

cywilne wesele skończyło się nad wyraz przykładowie, jako że nikt nikomu kłonicą głowy nie nadwerżył, ani opony w mercedesie szczyrykiem nie przebił. Goście rozjechali się do domów trzeźwi, w dobrym, niczym nienaruszonym zdrowiu.

Moja „cywilnie ślubna” żona nigdy nie robiła mi aluzji co do tego, że nasze małżeństwo — z mojej grzesznej winy — nie mogło być kościelne. By jej to jakoś wynagrodzić i utwierdzić w przekonaniu, że moje intencje w „dziedzinie matrymonialnej” były i są nadal szczere, perspektywiczne, a nade wszystko honorowe, kazałem wyryć w kamieniu, na frontonie naszej skromnej lepianki — z myślą o wieczności — nazwę „Villa Laura”.



Napis na froncie domu „Villa Laura”



Villa Laura

Tak było kiedyś, a jak jest dzisiaj w Ameryce

Dwudziestego pierwszego lutego 2008 roku napisałem artykuł wydrukowany potem w kilku amerykańskich i polskich czasopismach pod tytułem „Katastrofa będzie pojutrze”. Wtedy czułem, że dalsze kontynuowanie bieżącej polityki Stanów Zjednoczonych i życia za pożyczone pieniądze doprowadzi do katastrofy. Sądziłem, ale nie przypuszczałem, że katastrofa naprawdę będzie „pojutrze”, czyli nie za odległych kilka albo kilkanaście lat, ale jutro, czyli za dosłownie kilka miesięcy.

Kiedy nagle Stany Zjednoczone wpadły z dnia na dzień w depresję, zacząłem śmieiej wypowiadać moje opinie. Może dzieje się to też dlatego, że nie jestem związany z żadną partią polityczną ani wpływową grupą, mam przez to większą swobodę wypowiedzi i jasność spojrzenia. Zamiast jednak wspierać swoje opinie akademickimi tytułami, pozwolę sobie bez fałszywej skromności nadmienić, że własną pracą i pomysłem,

bez kapitału i pożyczek bankowych stałem się w USA człowiekiem zamożnym. Gdybym popełniał duże i częste błędy w ocenie sytuacji, jakie napotykałem na swej życiowej drodze, mój finansowy sukces z pewnością nie byłby możliwy. Osiągnąłem to, o czym marzą miliony Amerykanów, a mianowicie niezależność finansową! Zbudowałem firmę, która przez czterdzieści lat swego istnienia nigdy nie przyniosła straty i z roku na rok rosła w siłę. Cieszy mnie fakt, że przyjechałem do Stanów Zjednoczonych stosunkowo wcześnie, w wieku, kiedy miałem energię (kipiałem nią wręcz!) na wdrażanie mych pomysłów. Muszę jednak przyznać, że wtedy, kilkadziesiąt lat temu, mój kraj, USA, chyba bardziej sprzyjał ambitnym, początkującym wynalazcom, niż dzieje się to teraz.

Dzisiaj finansowa i prawnicza oligarchia skorumpowała rząd amerykański i ustawodawstwo do tego stopnia, że obecny kryzys wydaje się nie do pokonania. My, przedstawiciele drobnego przemysłu, niestety nie liczymy się! Pisząc te słowa, obawiam się, że pod koniec mej zawodowej działalności, na fali powszechnego bezrobocia, do władzy może dojść charyzmatyczny dyktator-maniak. Modłę się, żeby do tego jednak nie doszło! Moje obawy dzielają tysiące, jeśli nie miliony, drobnych i większych ciułaczy, którzy w panice pozbywają się dolarów i inwestują w złoto. Tu wyraźnie widać, że nikt nie ma zaufania do przedsiębiorstwa o nazwie „Stany Zjednoczone Ameryki Północnej”. Już najbliższa przyszłość pokaże efekty, gdyż dzisiaj historia nabrała tak wielkiego przyspieszenia, że na zmiany wcale nie czeka się setki, a nawet dziesiątki lat. Dzisiaj liczą się miesiące. Szybki i niespodziewany upadek ZSSR jest przykładem, jak nagle może się zawalić mocarstwo, które wydawało się być porównywalne do Stanów Zjednoczonych.



Ja z prezydentem Lechem Wałęsą w Houston (Texas)

Co mnie boli i dlaczego

Jako Amerykaninowi z wyboru głęboko leży mi na sercu sukces mego kraju, kraju, który — coby nie powiedzieć — dał mi warunki do spełnienia moich marzeń. Wspominam teraz o tym, aby zwrócić uwagę Czytelnikom, że moja krytyka, nie pochodzi bynajmniej od człowieka zgorzkniałego, biednego, zawiedzionego w stosunku do kraju, który go przyjął i zaadoptował. Nie! Raczej wywodzi się z niepokoju o przyszłość Stanów Zjednoczonych! Państwa, z którym są związane losy moje i moich, urodzonych tu dzieci i wnucząt.

Jan Czekajewski

*18 marca 2010 roku,
Columbus, Ohio, USA*